

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 47. Warszawa, dnia 13 (25 Listopada) 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	w Galicyi Złr. 11 cent. 50.
miesięcznie. . . „ „ 50	w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

WPŁYW WYCHOWANIA
na piękność ciała.

Dziwna to rzecz ta nieskończona rozmaitość fizyjognomij ludzkich, byłoby jednak daleko dziwniej gdybyśmy wszyscy byli do siebie podobni jak dwie krople wody. Nie możebne to przecież na szczęście. Żyjemy w warunkach odmiennych, podlegamy od przyjścia na świat przeróżnym wpływom i wrażeniom a te, wyciskają i zawsze wyciskać na nas będą swoje tajemnicze i niczem nigdy niezatarte piętno. Twarze ludzkie jak wiemy jedne są ładne, drugie przyjemne, inne znów brzydkie i odrażające nawet, zachodzi więc pytanie, czy człowiek może oddziaływać na urobienie swojej fizyjognomii i swojej postawy, a w szczególności, czy może wpływać na charakter fizyjognomii i jej piękność u dziecka. Niepodobne to niby, a jednak jak się przekonamy, są na to odpowiednie środki. Środki te w porównaniu z owemi wpływami, jakim dziecko zwłaszcza też podlega są ograniczone bardzo, przy umiejętnem jednak użyciu można je korzystnie spożytkować.

Jakież to są te środki i w jaki sposób użytkować z nich należy, aby dobry skutek osiągnąć? Wiadomo, że twarze noworodków bardzo są do siebie podobne i że w skutku tego niełatwoby było zapamiętać fizyjognomij kilkunastu widzianych na raz niemowląt. W porównaniu z twarzami ludzi dorosłych, twarzyczki dziecinne są niemal jednakowe, a różnice co do piękności są tu również bardzo małe, i jedne matki tylko znajdują je cudownie pięknemi. Co do nas, gdybyśmy piękność oznaczać mieli przez ilości dodatne, a brzydotę przez ujemne, dla niemowlęcia postawilibyśmy znak zero; w miarę bowiem rozwijania się dopiero, mnożą się dodatne i ujemne wpływy, i stosownie do przewagi jednych lub drugich twarzyczka dziecka piękne lub brzydkie przybiera kształty.

Jeżeli prawdą jest, iż nic się bez przyczyny nie dzieje, to prawdą musi być także, że piękność ciała nie jest dziełem cudu lub przypadku, lecz jest także naturalnym skutkiem pewnych przyczyn, jakie się na to składały. Im zatem lepiej te przyczyny poznamy, tym więcej wyrobienie piękności uczynimy od nas zależnem, bo gromadząc o ile możności dodatne, będziemy się starać o usuwanie wpływów ujemnych. Ponieważ wpływy o których mowa mogą być zarówno fizyczne jak moralne, pod obu więc temi względami rozważać je tu będziemy.

Twarz, jak wiadomo, jest do pewnego stopnia odbiciem charakteru człowieka, zmiany zatem jakim wyraz i piękność twarzy podlega, muszą być bezpośrednim skutkiem przyczyn fizycznych, które znowu powstawać mogły pod działaniem wpływów moralnych. Pomiędzy więc materyjalną cząstką człowieka, t. j. pomiędzy organizmem a w szczególności pomiędzy wyrazem twarzy i jego moralną istotą najściślejszy zachodzi związek. Gdyby możliwem było zbadanie tych tajemniczych procesów, moglibyśmy wpływać na kształtowanie się twarzy, moglibyśmy dowolny jej wyraz nadawać. Maleńka cząstka jaką dziś wiemy z tego wszystkiego, posłużyła za podstawę do utworzenia nauki osobnej, zwanej fizyjognomiką, która jednak dla szczupłości materyjału na słabych też bardzo zasadach się opiera. Nie o tę naukę przecież chodzi nam w tej chwili a potrącamy o nią mimochodem tylko dla tego, aby myśli nasze w dalszym ciągu wypowiedziane, stały się więcej zrozumiałemi.

Warunki piękności twarzy zupełnie są różne od warunków piękności wszystkich innych części ciała. W ostatnich, przyczyny działające nie są tak bardzo skomplikowane, a przytem i wnioskami nauki posługiwać się tu łatwiej możemy, jak o tem postaramy się przekonać, tu więc łatwiej też nam już wpływać na foremne ich kształtowanie.

Nie mamy bynajmniej zamiaru podawać środków upiększenia ciała, od tego są fryzyjerzy i modniarki, ale chodzi nam o sposoby za pomocą których organizm nie tylko by się zdrowo i normalnie rozwijał (co jest zadaniem higieny), ale piękne na zewnątrz przybierał formy.

Zanim zobaczymy co jest pod tym względem w naszej mocy, zastanówmy się nad tem co od nas nie zależy, bo i to jest niemniej ważnem.

Dziedziczność ma tu oczywiście wpływ, prawie nigdy nie dający się pokonać. Dziecko negra nie będzie miało cery białej; dziecko biedaka nie będzie miało takiej delikatności rysów jak dziecko urodzone wśród dostatku i wygód. Dziecko wzrastające w warunkach których usunąć niepodobna, rozwijać się też będzie w sposób, którego zmienić nie będzie można. Dzieci wiejskie będą miały inny wygląd od miejskich; te, które będą musiały wcześnie wziąć się do ręcznej pracy, nie będą mogły mieć rąk małych; ślęczące ustawicznie nad książką na pewno nie wyrosną w fizycznych olbrzymów.

Najwięcej warunków do pięknego rozwoju posiadają klasy bogate, dla tego też nie przesądzają, ci którzy mówią, iż stare rody arystokratyczne odznaczają się szczególną pięknością, utrwaloną w skutku dziedziczności.

Powiedzieliśmy, że przyczyny działające na kształty zewnętrzne mogą być fizyczne i moralne; a teraz dodamy, że zdaniem naszem jak jedne tak drugie w jednakowym mniej więcej stopniu wpływ swój wywierają. Jeżeli dziecko otoczone było najprzyjaźniejszymi warunkami fizycznemi a o stronę moralną niedbano, może być bardzo pięknem, ale nie będzie miało tego, co nazywamy szlachetnością rysów i przeciwnie będzie posiadać szlachetność rysów obok niepowabnej powierzchowności. Zjednoczone w najwyższym stopniu oba rodzaje warunków, przyczyniają się do wytworzenia najpiękniejszych postaci. Zjednoczenie to najłatwiejszem jest w klasach wyższych społeczeństwa, to też w rodzinach panujących są najczęściej najpiękniejsze typy danych narodowości. Biedni i ciemni mają bardzo mało warunków do pięknych form zmysłowych. Zdarzają się między nimi ładne naturalnie postacie, złożyły się atoli i tu na to najpewniej odmienne warunki niż te w jakich znajduje się ogół klasy, do której należą. Najpiękniejsza wieśniaczka jest brzydką w obec intelligentnej kobiety a jeżeli wydaje się nam piękną, to tylko przez porównanie jakie w myśli robimy z ogółem osób należących do jej sfery. Z tych uwag wysnuwa się już jedna ważna rada. Jeśli oto nie możemy dziecka otoczyć przyjaznemi fizycznemi warunkami, o których jeszcze słów kilka powiemy, postarajmy się dać mu wykształcenie, uzacnić uczucia, a nadewszystko godność osobistą. Człowiekowi obdarzonemu temi zaletami, wolno będzie niedbać o kształty zewnętrzne.

Naturalnie dla tych, którzy ciężko dla mizernego walczyć muszą bytu, uwagi nasze na nic się nie przydadzą; o *uszlachetnieniu swej rasy*, że się tak wyrazimy, mogą myśleć tylko lepiej uposażeni od losu. Cyganie, najnędzniejszy naród, jest zarazem brzydki ogromnie; a mówiący o ich piękności nie widzieli cyganów. Bywają piękne cyganki w pewnej epoce życia, nie ma jednak brzydszych kobiet w późniejszym wieku jak one.

Gdybyśmy mieli jednem ogólnem zdaniem wyrazić jakie wychowanie wpływa na piękność ciała, odpowiedzielibyśmy, że jak najbardziej *możliwie estetyczne*. Są wprawdzie przyczyny inne, przyczyny, które z estetyką żadnego nie mają związku; nie zmienia to jednak ogólnej zasady. Kobiety u nas bywają po większej części wychowywane tylko estetycznie, dla tego też są tylko pięknemi. Takie jednostronne wychowanie nic oprócz piękności nie daje, a zgubne stąd skutki mistrzowskiemi słowy wykazała pani Orzeszkowa, w powieści swej: „Marta.“

Przejdźmy do szczegółów materyjalnego życia i umysłowej jego strony; szczegóły te rozważać możemy jeden po drugim: w jaki sposób wpływają na piękność, albo też możemy rozważać różne rodzaje i cechy piękności, badać przyczyny materyjalne i moralne, które je wywołać mogą. Nie mamy powodów do dawania pierwszeństwa jednemu lub drugiemu sposobowi, wybieramy jednak ten ostatni, gdyż nam się wydaje łatwiejszy. Nie rozbierając drobiazgowo wszystkich przymiotów pięknego ciała, zaznaczamy główniejsze jako to: postawa, kształt głowy i jej szczegóły, ręce i nogi.

d. n.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(ciąg dalszy)

X.

„Nie jeden Cycero lub Wirgilijusz nowy,
„Miesza wapno. lub nosi cegły do budowy.“
K. Węgierski.

Już sanki suwają się po ulicach, już przy kapeluszach damskich powiewają różnokolorowe zasłonki dla zachowania płci delikatnej... Twarzyczki porumienione a oczki świecą się z pomiędzy łez, które wiatr mroźny wyciska. Sobole, tumaki, kuny, bielistki okrywają okrągłe ramiona; choć mróz kości łamie śmieją się wesoło; bo za sankami stoi modna młodzież, otula rozbawione panie i panienki, prawi francuskie komplementa, choć i jej język nie tęgo chodzi na mrozie. A oweż paradne bobry, niedźwiadki, lamparcie burnusy, których szpony obejmują szyję eleganta, ileż sprawiają efektu? W płaszczykach chodzą tylko studenci, niżsi urzędnicy, no i literaci... Nasz ogród pokrył się białym całunem zimy, drzewa szumiały jednotonnie; ustał szmer liści, ucichły rozmowy ptaków, wróble tylko niby gwarliwi sejmikowicze, świegotały na odwilż.

Pan Ficel wziąwszy z góry komorne, niedbał o przyrzeczone naprawy, tembardziej że podkomorzyna piąty ostatni rok pozostawała w mieście, że zaś piece zrujnowane trzeba było przestawić, podkomorzyna więc na czas ten przeniosła się do mnie z rodziną.

Chociaż nie za przestrono, nie było nam przecie ciasno. Chłopcom czas już było do wyższych zakładów, panny podrosły i jak to mówią były na wydaniu.

Starsza Antosia wysmukła, jasnowłosa czułą była i bojaźliwą. Za to młodsza Frania brunetka, krzepkiej budowy ciała, ruchów rzutkich, dowcipna jest i pojętna. Kiedyś często chmurki uporu i kaprysów rozsiadały się na jej ładnem szerokiem czole a guwernantki starego autoramentu, radziły surowych przeciwko temu używać środków, serce atoli matki, kobiety światłej innej się trzymało zasady. I z czasem upór złożył broń swoję przed bronią łagodności.

Podkomorzyna posiadała najwyższe zaufanie swych dzieci, nie kłopocząc się o nie, jak to czynią inne matki a zawsze napróżno, gdy sztukują nudzącą bacznością bezmyślne przywiązanie do dziatek.

Podkomorzyna kochała swe dzieci ale kochała je rozumnie. Patrzała na nie z czułością matki, bez ślepoty roztkliwionej rodzicielki; pojmując wyższe przeznaczenie człowieka, ez suchości pedagogicznych formułek. Podkomorzyna sercem była rówienniczką swych dzieci, rozumem przewodnicą; pamiętała że sama była dzieckiem, więc wzgląd miała na każdą dziecinną słabostkę i rosła razem z dziećmi zmieniając powoli ich słabość na siłę, poczucia na uczucia, marzenia na myśli, myśli na pojęcia oznaczone. Jako artystka, głęboko czuła piękno i harmonię, każdy więc ton fałszywy lub zaród szpetny w sercu czy umyśle dziecięcia, dostrzegła natychmiast i potrafiła skierować go właściwie. Jako chrześcijanka i dziejów znawczyni, rozumiała czego czas po ludziach wymaga i szła tą drogą, a dzieci poszły za nią.

Głębokie zaufanie zobopólne było koniecznem postępowania takiego następstwem. Stąd żadna z jej córek nie miewała ani tajemnych szeptów w garderobie, ani wykrętnych konceptów dla utajenia jakiej szkody lub figla; stąd żadna z nich nie szukała powiernic do zwierzania się z owych pustych, zwykle najniewinniejszych ale nieraz szkodliwych serca tajemnic, tak zwykłych u dzieci podrostków.

Żaden elementarz niebył zlany łzami aniołków, których pierwsza przymusowa nauka wypędza z raju, budząc nieraz wstręt do niej na całe życie. Przez miłość dla matki przynosiły dziateczki stołek pod jej nogi przez ciemny korytarz, nie czując bojaźni, biegły po służącą do oficyny, nie lękając się mrozu lub burzy, śpieszyły od zabawek do książki bez niechęci, siedziały przy robótce bez poziewania.

Rozumna miłość matki ochroniła je od sercowego automatyzmu, który prowadzi do naśladowania rodziców nawet w ich wadach; w wyborze serca przestaje na pozorach nie pytając o zasady, dozwala żyć na ślepo z dobrym mężem choćby złym człowiekiem a następnie zasłania przed wzrokiem przyszłej wychowawczyni słabości swych dzieci, które też nieraz wyrastają na potwory a zwykle, na kaleki myślą i sercem, rozmiękczonego ciała człowieczki.

Wychowaniem synów kierował sam podkomorzy przy pomocy Joachima. Podkomorzyna o tyle tylko zajmowała się nimi, o ile potrzeba było serca do zagrzania dusz młodzieńczych. Wiedziała z doświadczenia, że chłopcy pod rozumnym kierunkiem ojców wychodzą zawsze na mężczyzn zacnych, nieposzlakowanego charakteru, na ludzi zdolnych stawić czoło wszelkim losu szarugom — gdy mamy synkowie to najczęściej wymoczki bezbarwne, lwy w salonie, tchórze w życiu lub nędzne kopije nieszczególnych wzorów. Niewtrącała się więc do wychowania synów, dziękując Bogu za takiego ich ojca i nauczyciela.

Podkomorzy kochał dzieci przedewszystkiem jako następców swej duchowej spuścizny, i gotów był ich wydziedziczyć gdyby dostrzegł najmniejszą skazę na ich charakterze. Religijny, stawiał zawsze w obec ducha i prawdy, świat, ludzi i siebie z rodziną, a tam tylko zwracał swe serce, gdzie tego ducha i tę prawdę wyraźniejszą zobaczył. Ideę postępu ludzkości, uważał nie jako pole doświadczeń na chybił trafił, lecz jaką zasadę, jako akt wiary, jako nieodwołalny pochód naprzód w który wątpić niewolno. Ludzie tuzinkowi często go nazywali niekonsekwentnym: bo miał on logikę zasady obcą krótkowidzom,

i nigdy jej nie odstąpił ani dla ułudy jakiej doktryny, ani dla pobieżnych życia korzyści.

Dzieci podkomorzych umiały chodzić boso bez kataru, jeździć karetą bez pychy. Oprócz zwykłych, wyższych nauk, umiały i to czego się zwykle nie uczą dzieci dostatnich rodziców: umiałyby w razie niedoli nie wpaść w nędzę moralną, umiałyby rzemiosłem na chleb zarobić, gdyby tego była potrzeba.

Antosia była wyborną introligatorką i drzeworytniczką, Frania zdolną buchalterką i doskonałą kucharką. Obie były wybornemi szwaczkami i znały się jak nie można lepiej na gospodarstwie domowem. Wiedziały że im natura nie poskąpiła urody, że mają krociowe posagi, ale wstydziłyby się mieć więcej wdzięków ciała niż duszy, mniej własnej niż pieniężnej wartości.

Synowie również kształceni praktycznie, skierowani podług swych zdolności, posiadali w ręku rzemiosła. Starszy Henryk, zamiłowany w naukach przyrodzonych i przeznaczony do szkoły rolniczej był dobrym ślusarzem; młodszy Cypryjan, poeta i wyborny majster szewckiego kunsztu, miał niezadługo wyruszyć do wszechnicy.

Gdy dnia pewnego oczekiwaliśmy z obiadem na gości, wsunęły się przez bramę sanie zaprzężone parą tłustych dereszów, a na saniach usłanych grochowinami, okrytych kilimkiem domowej roboty siedziała para wieśniacza. Wiózł ich wyrostek w nowym kożuszku, opasany krajką: buty miał aż za kolana i czapkę z odchylonemi w górę uszami.

Sanie zatrzymały się przed gankiem, kmieć wysiadł i podszedł do przechodzącej w tej chwili służącej, pytając:

— Moja imość, czy tu mieszka Joachim Bielunas?

— A co macie za interes do niego?

— To nasz syn, dobrodziko. On tu dzieci uczy u jednej pani.

Joachim posłyszał głos ojca i wybiegł radośnie na spotkanie, ucałował ręce obojga przybyłych i poprowadził do swego mieszkania. Podrostek pozostały przy koniach, wydobywał z pod siedzenia, kobiałki z wiejskiemi zapewne przysmakami, kilka wianków grzybów suszonych, chustkę nawiązanych orzechów i oglądał się na wszystkie strony gdzieby konie postawić. Nadszedł stróż i pokazał stajnię. W tej chwili wyszedł znowu Joachim, wycałował brata, dał stróżowi na piwo żeby konie opatrzył, a zdumionego podrostka zabrał ze sobą.

Do podkomorzynej wpadł Wojtuś wołając: czy ciocia każe jeszcze trzy nakrycia położyć do stołu? Przyjechali rodzice pana Joachima, już się z nimi widziałem, wycałowali mnie aż strach, a jest tam i jego brat Antosiek, z którym jużeśmy się próbowali ale mnie dwa razy przewrócił na ziemię. Ja cIociu już obiadu niechcę, bo mi dali sera, wędzonek, a jakie przywieźli dla cioci gościńce, rzekł i okręciwszy się na jednej nodze, poleciał znowu do Antka.

Podkomorzyna poszła poznać się z gośćmi i zaprosić ich do stołu, ale staruszkowie znużeni podróżą podziękowali serdecznie i prosili aby mogli zostać u syna.

Przed odejściem podkomorzyna rozpytywała staruszka, co tam słychać na wsi nowego, jaka ruń była w jesieni, jakiej oczekują wiosny?

— Bóg wie dobrodziko co będzie na wiosnę; jak przyjdzie wiatr zimny, zaostrzy koniuszczki żyta, to zdaje się że wszystko przepadło, a tu Pan Bóg wionie innym wiatrem i znów jak ruta zielone...

— A wieleż macie dziatek?

— A niech to ta już żona moja policzy, odpowiedział dziadowina i zaśmiał się wesoło.

— Dał Pan Bóg czterech synów i dwie dziewczyny. Joachimek najstarszy i Bogu chwała nie *mielim* z nim wielu *zgryzot*, Kaziuka *puszczamy* teraz do szkół, a już także dobry podrostek. Jest także *Antosiek* i *Markiuk*, a dziewczyny mamy dwie: *Katreczkę* i *Praniutę*.

— Dużo też jest w waszych stronach umiejących czytać?

— Ej! gdzietam dobrodziko nasza, jak kto ma grosz jaki to go zaraz do karczmy niesie i kwita. Zepsuli się teraz ludzie, *musi* koniec świata będzie, rzekł Tomasz i pokręcił głową.

Pod wieczór przyszli Tomaszowie do nas na herbatę.

Johanna przysiadła do Tomaszowej, rozpytywała o gospodarstwo, o dzieci pozostałe w domu, o sąsiadów i sąsiadki, a staruszka gładziła ją po twarzy, całowała, uczyła jak wyciskać sery, przyrządzać wędlinę i inne przysmaki; jak bielić płótno, tkać płócienka i samodział do sukna podobny. Tomasz biedował na ciężkie czasy a Wojtek z Antkiem hasali po dziedzińcu.

Gdy wszyscy zajęci byli rozmową z Tomaszami, w drugim pokoju znaleźli się dwaj bracia Zyżemscy. Zeszli się tutaj po kilku latach niewidzenia. Dziwnie do siebie podobni i dziwnie różni od siebie: obaj jaśni blondyni, rysów i urody jednakiej. Stefan starszy o lat parę, wieku lat trzydziestu, żonaty, rzeźwy jest lecz poważny. Komu by wóz ugrzązł w błocie, wezwałby go niezawodnie na pomoc, każdemu kogoby w ciężkich interesach, odstąpili krewni i przyjaciele, onby natychmiast pośpieszył z sercem, radą i groszem. Młodszy, jakby świeżo wyszedł z kąpieli, za długo w niej siedział więc wymókł jakoś zanadto, bo ma minę taką iżby do wyrobu porcelanowych figurek mógł za model służyć wyśmienicie. Imie nosił Herkulesa, jakby przez Pszonkę sobie nadane.

— Dawnoś też siostrę widział Herkulku? zapytał Stefan.

— Właśnie jadąc od babci zwróciłem umyślnie na Wisdiewie, aby Julkę odwiedzić.

— No i jakże się tam mają oni sami i ich dzieci?

— At! dobrała się para dziwaków i kwita. Strasznie tam nudno!

— Nudno czy wesoło to mniejsza, ale co tam słychać u nich przecie.

— Zdrowi, zdrowi i dzieci widocznie zdrowe bo czerwone jak raki; w interesach niegorzej stanęli i zapasik mają i kredyt mają; ale wszystko tam straszną parafijańszczyzną trąci. Wacława nie poznałem: wąsy jak u suma, buty za kolana, kapota z samodziału, jak u ekonoma jakiego. Książek huk tam wprawdzie ale jakieś nudne, specyjalne, niby u bakałarza jakiego. Julka, miły Boże! a toć ona patrzy na bonę jakiej szlachcianeczki o kilkunastu dymach. Dziwna rzecz, ludzie dobrze wychowani, ludzie co przebyli kilka lat zagranicą, na takich się dziwolągów przerobili..

— Ciekawym co też oni o tobie myślą?

— A mniejsza o to, niech tam poczciwcy myślą sobie co się im podoba. Powiedz mi oto lepiej czy prawdą jest co mówią, że ta piękna, rozumna niby Johasia, wychodzi za mąż za tego tam Joachima.

— I nawet z tego powodu przed kilku dniami odprawiła z kwitkiem Faustyna...

— Eh! żartujesz! Toż o niego ubiegają się wszystkie mamunie. Toć to pan, bogacz świetnie wychowany a przytem śliczny mężczyzna.

— Zeszłej wiosny, dała znowu odkosza panu Julijanowi...

— Julijanowi! temu pogromcy serc niewieścich, czy to wszystko być może?

— Sam byłem tego świadkiem, więc....

— No to już nic nierozumiem, widocznie świat głupieje!

— Więc pan Joachim! No, no... winszuję... Nie dziwię się Johannie, ależ podkomorzyna, ależ krewni, zresztą każdy uczciwy człowiek, możeż dopuścić do takiego głupstwa? Cóż nakoniec będzie z ich przyszłemi dziećmi? Z czego żyć będą tacy dwaj hołysze?

— Zanim dzieci dorosną, dosyć czasu na dorobek zostaje, zwłaszcza że Joachim jako doktor prawa, ma wkrótce otrzymać katedrę przy uniwersytecie, a takie miejsce materyjalny byt w zupełności ubezpiecza.

— Ależ z czego mógł się u dyjabła podobać? Niepokaźny, dziobaty, przygarbiony, chudy jak indyjski pokutnik; chyba zatem to tylko że coś tam umie, i gładko mówi kilku językami.

— Ależ mój bracie, Joachim to głowa jakich mało, to człowiek któryby przy innych warunkach dawno już był na wierzch wypłynął i szerokie znalazł uznanie. A jakaż to wymowa, Orzechowski nie powstydziłby się przypisać mu swoje *Turcyki*.

— Toć i Pankracy mówca nielada.

— Nie ubliżaj człowiekowi, którego znasz tylko po wierzchu.

— Gdyby to taki był olbrzym na jakiegoś go wydmuchał, toby się o nim coś słyszało, coś czytało do tej pory.

— Wsadźże Rubiniemu głowę do pieca, niech będzie sławnym śpiewakiem.

— Nie mam dziś usposobienia do szermierki, ale powiedz mi jaki mogą mieć posag podkomorzanki?

— Miałeś przecie zamiar starać się o Celinkę?

— Za rozumna...

— Kwapiłeś się kiedyś do Walerki...

— Za stara.

— Młoda za ciebie nie pójdzie, chybaby córka jakiego archeologa, co zakochany w swym przedmiocie, podług tego i córkę wychowywa i zięcia dobrać pragnie.

— Daj pokój żarcikom, no i na seryjo ile mogą mieć podkomorzanki?

— Dokładnie nie wiem, ale posagi to krociowe, tylko cóż kiedy i one mają wielkie wady dla ciebie.

— Jakież?

— Za rozumne.

— Mój gust mnie zostaw, a więc powiadasz że mają po parę kroć?

— Że po trzykroć ręczę głową, a być bardzo może, że się okaże więcej. Na co jednak tobie posag konieczny, masz spory swój fundusz, a zdwoisz go jeszcze spadkiem po babci, której już i Vichy nie skutkuje.

— Widzisz Stefanie, co ja mam i co mieć będę, to mam tylko dla siebie, żona musi powiększone wydatki własnym załatwić funduszem.

— Dostaniesz harbuza, trzeba było pośpieszyć za nim nie przeszły kursu higieny. Trafiłem raz na lekcyją i słyszałem jak im doktor Justyn Dąbrowski wykładał, że *jednym z koniecznych warunków zdrowia, jest praca.* Ty jej nie lubisz, musisz przeto chorować, pocóż być żoną szpitalnika?

— Nudnyś do niezniesienia, ale mnie nie przestraszysz. Dziewczątka ładne, młode i bogate, z niemi weselsza będzie rozmowa, adiu! I wyszli obaj do salonu.

Pan Herkules znalazł przy pannach pana Fortunata Mościszaka, przyjaciela swego z Neapolu, gdzie przed parą laty wyśpiewywali razem najczulsze serenady na *Capo di monte*, nie bez powodzenia. Obaj cierpieli na śpiewomaniję, pan Fortunat chorował jeszcze na sonety i tryolety. Młody, przystojny, dostatni, gładko wychowany, wesoły i często dowcipny. Jak się podobali dwaj przyjaciele podkomorzankom niewiadomo, to tylko pewna że obaj w najlepszych humorach pożegnali towarzystwo.

Nazajutrz odbyły się zaręczyny Johanny z Joahimem, a uszczęśliwieni kmiotkowie odjechali do domu, rozdzieliwszy między ubogich kilkadziesiąt złotych, przy każdym z 21 kościołów Wilna na intencyją zaręczonych.

XI.

Po czemu funt biedy?
Spytaj u aktorów.

Gdzie kupić głupstwo?
Idź do wojażerów.

Już wiosna: radość ludzi i natury, roskosz poetów i dzieci; czas przeżuwania na wsi odwiecznych gderań na Pana Boga, że wszystko wypali lub wszystko wymoczy, czas nowych trudów ludziom myśli i pracy.

Podkomorzyna wybierała się do odjazdu na wieś, trzeba więc było zostawić trochę czasu na oddanie i przyjęcie pożegnalnych odwiedzin. Poufalsi przychodzili na obiad i w każdej dnia porze, a w ich liczbie był koniuszyc, krewniaki poczciwa dusza, znudzony brakiem dawnego towarzystwa i brakiem dawnego czasu, co ucieka nie czekając na nikogo.

W dniu imienin Franusi zebrało się kilkanaście osób na herbatę.

— Czemu się nie żenisz, kochany koniuszycu? Chcesz to cię wyswatam ze śliczniutką panienką, rzekła pani Genowefa, wdowa po trzech mężach.

— Czemu mościa dobrodzika sama za mąż nie idzie? Rozkaż, a wyswatam cię za ślicznego chłopca?

— Za stara już na to jestem...

— I ja też nie mam ochoty wprzęgać szalonych koni do starego wozu.

— A pan wie że Julka idzie zamąż bardzo szczęśliwie? powiedziała zwracając się do p. Stefana Zyżemskiego.

— Słyszałem że znalazła wcale bogatego nabywcę.

— Co to ma znaczyć?

— Że nie poszłaby za pana Grzegorza gdyby był biednym. Kupno to i nic więcej a sakrament służy za opakunek towaru i uprawnienie tytułu własności.

— Toż to pono pańska bliska kuzynka...

— Tak los zrządził, ja jednak mam się za zwolnionego od tego honoru, względem wszystkich krewnych wychowanych na sprzedaż.

— Święta racyja, rzekł koniuszyc, a jeżeli pozwolicie państwo, to wam w tym guście zabawne zdarzenie o sobie opowiem. Dawne to czasy, bo ze sto lat może temu, a że pięćdziesiąt to więcej jak pewno, zapruszyłem był serce ślicznemi ślipkami.

— Czyjeż to były ślipki, zapytało kilka zaciekawionych kobiecych głosów.

— Tego się nie mówi, ale faktem jest że były śliczne i że gorący we mnie afekt wzbudziły. Proszę tedy pana referendarza Wincentego Tyszkiewicza na swata a on jedzie i wraca z przyrzeczeniem. Że przecież bystrego to oka człowiek, powiada mi: tam bodaj sercowa tandeta, tam bodaj amorek sprzyja więcej mającemu i prawdopodobnie aniby z waszmością gadano, gdybyś nie był koligat a przedewszystkiem *posessionatus* szeroki. Zrzęda stary pomyślałem, zaręczam się i pędzę oporządzić się do Warszawy. Po drodze wstępuję do referendarza i odzywam się na wstępie: Winszujże mi panie hrabio i błogosław, bo jużem po zaręczynach. Teraz nic z tego uczynić nie mogę, odpowiedział zacny weredyk, ale będę ci życzyć i błogosławić jak się przekonam, iż osoba waszmości ma u nich znaczenie bez waszmościnych *dymów.* Poczekaj dni kilka i pozwól abym uczynił w sercu panny kwerendę. Przystałem i za dni kilka.... odesłano mi obrączkę z bardzo wyrafinowanym listem o stu przyczynach, z których każda oddzielnie wzięta najzupełniej na niezbędność odkosza wystarczała.

— Więc ta nieszczęśliwa kwerenda? zapytały trzy naraz niewiasty.

— Referendarz wyprawił sztafetę do domu mojej narzeczonej z listem do mnie, niby od mego głównego pełnomocnika z doniesieniem żem przegrał proces familijny i tracę całą fortunę. Na kopercie napisał iżby list w razie mojej niebytności otworzono i co prędzej mi odesłano takowy; panna w płacz, mamunia dostała spazmów, papa upił się z rozpaczy.

— Dziękuję za taki koncept ze strony pana referendarza, rzekła panna Palmira, młodziutka żona zgrzybiałego męża.

— Ma pani słuszność, pan referendarz wistocie nie bardzo był taktowny człowiek, a muszę dodać że jeszcze gorsze on sceny wyprawiał. Kiedy naprzykład Linde nie miał za co wydać VI tomu swego sławnego *Słownika*, ten dziwak referendarz dał na to *pięćset czerwonych złotych*; ten sam oryginał we Świsłoczu na założenie gimnazyjum przeznaczył *dwakroć sto tysięcy złotych polskich*, i cały swój księgozbiór bogaty. Nieprawdaż, że to był oryginał, że to nietaktowny i nieczuły człowiek?

Pani Palmira spojrzała teraz na zegarek. Pani podkomorzyna ma dzisiaj być w teatrze, rzekła, już więc i wybierać się pora...

— Co to tam dzisiaj grają, czy znowu lichotę jaką jak zwykle? zapytała pani Henryjeta, znudzona światem wdowa.

— Nie wiem doprawdy ale zapewno, boć trudno łożyć na widowiska aktorom, gdy tak mało na nie uczęszcza, że im często na chleb powszedni brakuje.

Po powrocie z teatru rozprawiano o sztuce a jak zwykle bywa na świecie, najmniej znający się na tem najwięcej stawiali zarzutów. Z kolei rozmowa się zwróciła na ubiegły karnawał, skąd znalazł się powód do utyskiwań że co rok mniej domów ze wsi przybywa, że w ogóle ciężką jest jakoś atmosfera towarzyska, i że stetryczeli nietylko starzy ale nawet i młodzi, aż nareszcie ktoś z poziewających zapytał podkomorzyny, czemu teraz tak wszędzie nudno.

— Rzecz to naturalna zupełnie, tak jest bo tak być musi, odpowiedziała zapytana. Wychowaniśmy na ludzi bezczynnych, a bezczynność toż najwyborniejszy środek na nudy. Niechże z nas każdy powie kim jest, do czego uzdatniony i z czegoby żył gdyby na raz stracił całe mienie? Część nas pracuje bez miłości pracy, jedynie by zdobyć prawo próżnowania zapracowanym dostatkiem, druga część, by trwonić bezmyślnie cudzą pracę i znużyć się bezczynności przesytem. Nic w tem jednak dziwnego, bo to zwykłe następstwo przejściowego czasu. Nim się ludzie w zaćmieniu ducha, ogarną, obejrzą dokoła, myśl zdrowsza od biega i każdy błąka się starym tropem. Póki hartowniejsze uczucie nie pokrzepi ducha, póki myśl poważniejsza nie prześwietli nowych dróg żywota, póty nie ma przeświadczenia że człowiek i ludzie tego tylko w trwałem szczęściu używać mogą, co poczciwą zdobędą pracą. Przeszedł czas martwych zabaw, nastąpił czas życia i trudu.

Koniuszyc był smutny i milczący. Siadywał w teatrze zawsze na jednem miejscu, a krzesło sąsiednie przypominało mu niedawno zmarłego przyjaciela i towarzysza młodości *Józefa Strumiłłę*, zagorzałego jak i on protektora teatru.

Strumiłło był człowiekiem rzeczywistej zasługi: jego *Ogrody północne*, są dotąd najpopularniejszą u nas książką w tym przedmiocie, i pono najkompletniejszym poradnikiem w ogrodnictwie. On pierwszy u nas ułożył praktycznie w systematyczną całość ogrodnictwo, zachęcił nie jednego do zaprowadzenia ogrodu i starania o nim, on przy swym ogrodzie w Wilnie wykształcił praktycznie wielu ogrodników.

Strumiłło nabywając wieś Świetlany w powiecie wileńskim, miał zamiar zaprowadzić tam gospodarstwo postępowe i szkółkę rolniczo-ogrodniczą: ale wiek, mianowicie zaś stan zdrowia i śmierć nareszcie, przerwały to godne naśladowania przedsięwzięcie.

Dano znać do stołu, a gdy wszyscy doń zasiedli, z ogrodu posłyszano wokalny duet przy hiszpańskiej gitarze.

Naprzód odśpiewano sławną przed kilku laty w salonach i na ulicy piosnkę neapolitańską; potem tryolet przez każdego zrozumiany.

Śpiew był ślicznie wykonany, podobał się i zadziwił wszystkich. Kilka osób pobiegło

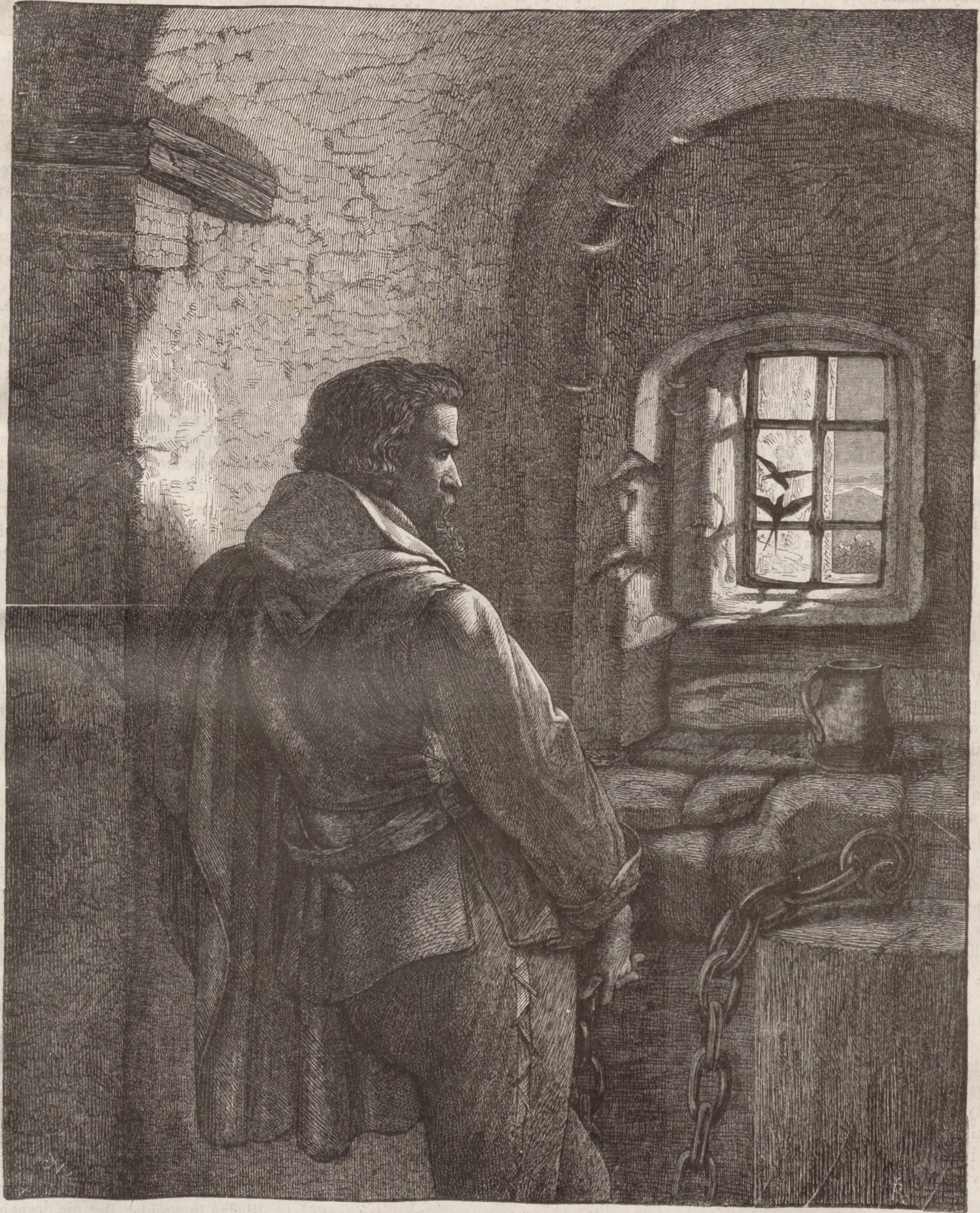
Na drugim:

Czemuż Franusiu twe oczy
Moję swobodę zabrały?
Ten blask, ten ogień uroczy,
Czemuż duszę moję tłoczy?

znane nam słowiczki z Partenopy, co na gniazdo kwilą, rzekł koniuszyc.

— Może dwie wrony, tylko ze słowiczym gardziołkiem, szepnęła śmiejąc się Frania do Antosi i obie zaśmiały się serdecznie.

— Po takim śmiechu miłość nie chodzi, po-



Silvio Pellico w więzieniu Szpilbergskiem.

do ogrodu, lecz już niebyło tam nikogo, tylko na balkonie leżały dwa koszyki kwiatów symbolicznie ułożonych a we środku każdego zwój jakiś papieru. Na jednym wykaligrafowano ozdobnie śpiew pierwszy:

„Si chiami tu m' acide i t. d.

Czemuż przed tobą drżę cały?
Cóż to za powab uroczy?
Ach! — boskiej Franusi oczy
Moję swobodę zabrały!

— To wyraźnie konkurenci do podkomorzanek. Po głosie i pierzu znać ptaka; a to

wiedział koniuszyc do podkomorzynej, wskazując na dziewczęta. Dobrze że niema podkomorzyców, młody naród, mogliby się pogniewać i wyzwać na rękę. No to już jajutro rano zajmę się wydyplomatyzowaniem tej sprawy.

— A bądź spokojny kochany koniuszycu

ręczę że nikt ani pomyśli o gniewie. Wszakże sam fakt nic w sobie nie ma obrażającego, tylko to komedyjanctwo obcego kraju jest śmieszne i nie może się podobać dzisiejszej kobiecie. Szkoda, bo dobrej to natury chłopcy; przy właściwym kierunku, coś więcej rzeczywistego umiejąc, mogliby wyjść na szanowanych i pożytecznych ludzi.

Nazajutrz podkomorzyna. wyjechała do męża z całą rodziną. d. c. n.

WŁADZE UMYSŁOWE ZWIERZĄT.

Instynkt czy inteligencyja? — Jak się u nas obchodzą ze zwierzętami. — Wierny burek. — Logika szczurów. — Pies kaprala. — Jak sobie poradził szympans? — Dowcip lisa. —Osieł melomanem. — Bobry. — Użyteczność wróbla.— Czem się żywi kret? — Agami i jego obowiązki. — Dla czego kukułka składa jajko w cudzem gnieździe? Szczygły umiejące oceniać wartość materyjału budowlanego. — Siewki i krokodyle. — Inteligencyja ryb i płazów. — Mrówki oswobadzające towarzyszkę z kłopotliwego położenia. — Roztropność pszczół. — Czy tylko z fizycznej siły zwierząt człowiek może korzystać?

Od najdawniejszych czasów filozofowie i przyrodnicy rozbierali kwestyją umysłowości zwierząt. Jedni poczytywali je za istoty bezwiedne, za machiny ożywione ruchem; inni przypisywali im wszelkie przymioty psychiczne. Malebranche bił psów dla przekonania się, czy w nich istnieje czucie. Krahmer uznaje w świecie zwierzęcym inteligencyją. Lewes szydzi ironicznie z tych, którzy odejmując zwierzętom władze umysłowe, dowodzą tylko swej własnej nieświadomości. Fravier opowiada cudowne historyje o inteligencyi pszczół, Parkyns podaje ciekawe spostrzeżenia nad rozwojem władz umysłowych małp. Morton o bobrach, Blanchard o mrowkach, napisali obszerne tomy. W roku ubiegłym, znakomity naturalista niemiecki Wundt, ukończył swe *wykłady o duszy zwierzęcej*, w których przeprowadził głęboką analizę w przedmiocie umysłowości zwierząt. W obec tych prac poważnych, jakże naiwną wydaje się nam broszura p. Dębskiego, który wykazując niby zasadnicze różnice oddzielające człowieka od rzesz zwierzęcych, podaje za pewnik, *że zwierzęta nie rozumieją człowieka*. Nie szukając daleko, mogliby na to odpowiedzieć autorowi starzy myśliwi, którzy w swem życiu stokrotnie się przekonali o inteligencyi psów i tropionego zwierza leśnego. Gdy pies broni domu od rzezimieszka, czy w tem postępowaniu dowodzi tylko instynktu? Czy powoduje się tą bezmyślną władzą bocian, z wiosną wracający do swego gniazda po długiej podróży? Czy kura lub kuropatwa, broniąca swą dziatwę od napaści nieprzyjaciela z narażeniem własnego życia, nie składa dowodu swych uczuć macierzyńskich i inteligencyi? Wszakże instynkt doradzałby jej ucieczkę; wszakże najdroższym skarbem każdego jestestwa jest życie, i wszelkie zwierzę stara się je zachować jak najdłużej. Liczne fakty biologiczne okazują nam, że zwierzęta, czują, sądzą, porównywają; że jednem słowem odbywa się w ich mózgu pewien proces myśli. Nie z instynktu to zapewne, starsze wiekiem zwierzęta są roztropniejszemi od młodszych; nie z instynktu lis kopie sobie norę o dwóch wyjściach, aby gdy jedno wykrytem zostanie przez nieprzyjaciela, drugie posłużyło mu do ocalenia. Znaną jest powiastka o jaskółce, która powracając do starego gniazda, gdy je znalazła zajętem przez wróbla i przywłaszczyciel nie chciał ustąpić, z pomocą towarzyszek zalepiła go w tem mieszkaniu. Gdybyśmy nie kryli światła pod korzec, nie czynili z dnia nocy, nie obchodzilibyśmy się po barbarzyńsku ze zwierzętami. Nie można przejść przez nasze miasto, by nie być świadkiem, oburzającego widoku katowania koni przez dorożkarzy i innego rodzaju woźniców. Na trzy dorożki, co najmniej u jednej, koń ma powybijane oczy, obdarte boki lub pokaleczone nogi; biczowanym bywa bez miłosierdzia za swoję produkcyjną pracę, a biczowanym za zdrożność, której nie popełnił, gdyż pijany woźnica dla przyjemności ruchu, podwaja zadawane razy — jedzie z fantazyją. Zwierzę najzmyślniejsze musi ogłupieć, zniędznieć, przy takiem postępowaniu człowieka, którego przecież wielki naturalista Lineusz, nazwał *Homo sapiens* (człowiek rozumny). Koń dorożkarski i pocztowy, a więcej jeszcze używany do przewożenia ciężarów, jest najnieszczęśliwszem stworzeniem, i niezaprzeczenie posiada świadomość niewolniczego swego istnienia; tortury jakie mu zadaje człowiek, znosi z heroizmem, lecz nie mniej ciążą one na naszem sumieniu. Pomimo istnienia towarzystwa opieki nad zwierzętami, i potrzeby naglącej reformy, obchodzimy się ze zwierzęty z dzikiem okrucieństwem, które stanowi szpetną kartę w życiu ludzkiem.

Nie jest to już niewiadomością ale ślepotą, powiada Friedrich, aby zapoznawać stanowisko jakie odnośnie do nas zwierzęta zajmują. Kto zaprzecza ich duchowym zdolnościom, ten tylko tyle widzi, ile mu oczy pozwalają.

Przejdźmy do kilku przykładów okazujących inteligencyją zwierząt.

Kot noszący nazwę *burka*, którego znałem osobiście, o czem mogę cię upewnić i przekonać łaskawy czytelniku, gdyż jeszcze istnieje w życiu doczesnem, chował się w Lublinie u jednej staruszki, której był ulubieńcem. Przed rokiem staruszka umarła, na pogrzebie jej za trumną kroczył poważnie burek, smutny, wychudzony trzydniowym dobrowolnym postem, a gdy na cmentarzu przysypano ziemią zwłoki, z trudnością zdołano oderwać zwierzę od świeżej mogiły.

Szczury którym podrzucono truciznę, stronią od niej następnie, i można być pewnym, że drugi raz zadawana, nie znęci ich wcale. W umyśle ich musi zatem odbywać się pewien proces rozumowania, doprowadzający ich do wniosku że to jadło jest szkodliwem.

Pies kaprala francuskiego, zagubiwszy pana swego w przeprawie przez Berezynę, po kilku latach wrócił do wsi w której stary żołnierz mieszkał. Wrócił po to tylko aby przyczołgać się do nóg swego dobroczyńcy i umrzeć, gdyż długa podróż zrujnowała całkiem jego siły. Czy temu psu odmówimy uczucia? Czy odmówimy mu pamięci w odszukaniu swego pana, woli która go prowadziła przez szeroki płat Europy do rodzinnego progu, myśli przewodniczącej w wykonaniu tego planu? Zaiste byłoby śmiesznem przypisywać to instynktowi, to jest jakiejś sile cudackiej, nic nie objaśniającej.

Szympans (małpa bezogonowa) trzymany w muzeum historyi naturalnej w Paryżu, znudzony więzieniem, szukał sposobu oswobodzenia się. Drzwi, niestety, były zamknięte, a klucz od nich zawieszono zbyt wysoko. Co począć? Szympans daje susy dowodzące jego niepospolitych zdolności gimnastycznych; napróżno, sięgnąć mu po klucz niepodobna. Zaczyna się namyślać, rozważa i po pewnym namyśle przystawia krzesło, wskakuje na nie, zdejmuje klucz z kołka i jak najciszej drzwi otwiera. W tem całem postępowaniu, nie widzimyż rozwagi, atrybutu ducha.

Wilka cechuje przezorność, lisa przebiegłość, nie łatwo też tego ostatniego ująć w zatrzask. Gdy przez nieostrożność złapie się w żelaza, odgryza pochwyconą nogę i uchodzi. Do tego bohaterstwa doprowadza go niepokonana logika. „Lepiej stracić nogę niż życie, przyjdzie człowiek i muszę umrzeć pod jego straszliwemi razami.“ Gdy lis w zimie ma przechodzić przez staw zamarzły, kładzie się najpierw na lodzie i przysłuchuje. Jeżeli do jego ucha dochodzi szmer płynącej pod lodem wody, a tem samem daje wskazówkę małej grubości lodu, zwierz cofa się; w przeciwnym razie, przebywa lodową taflę odważnie.

Osła spotwarzano nam od dzieciństwa; zwierzę to ma być typem głupoty i uporu, z tych też względów może biczowane bez miłosierdzia, ogłupiało do reszty pod batem człowieka. A jednak osieł posiada cenne przymioty: jest wstrzemięźliwym, roztropnym, lubi czystość, a nawet ma pewne upodobania artystyczne, niepospolitym jest bowiem lubownikiem muzyki.

W Guervile, wiosce francuskiej, właścicielka jej miała głos prześliczny; ile razy śpiewała z akompanijamentem fortepijanu, osieł stawał pod oknem, zachwycając się tonami melodyi. Jednego wreszcie wieczoru, oczarowany widocznie śpiewem i muzyką, wkroczył do salonu i przeciągłym rykiem objawił śpiewaczce swoje żywe zadowolenie.

Zadziwia nas i słusznie budownictwo bobrów, wybór miejsca, wyznaczenie tamy, wzniesienie chaty, wszystko to świadczy o zdolnościach umysłowych tych zwierząt. Pomimo to dziś jeszcze są ludzie, którzy głoszą, że bóbr wszystkie te prace spełnia bezwiednie, że zdolności jego inżenierskie i architektoniczne, nie są nabyte lecz wrodzone. Gdyby tak było w istocie, zwierzęta nie potrzebowałyby łożyć tylu trudów w wykładaniu nauki swym dzieciom. W robotach zresztą budowlanych tych zwierząt, Morton zaobserwował wiele ulepszeń, które nie były wcale znane bobrom stawiającym chaty przed stuleciem. Rengger widział wróbli niosących pomoc skaleczonemu towarzyszowi; dwóch wróbli pilnowało go nieustannie przez dni cztery, poczem odleciały z nim razem już uzdrowionym.

Biedne te wróble! ileż nie doznają prześladowań w naszych wsiach i miastach. Psotne chłopcy łowią je w przeróżny sposób, wybierają jajka, i niszczą to ptastwo z barbarzyńskiem okrucieństwem; dla błahej przyjemnostki znicestwiania życia. Czy godzi się tępić ten świegot wesoły w przyrodzie? za kilka ziarn zbożowych, spożytych przez ptaszę, karać je śmiercią?

Gdyby nie wróble i inne ptaki wytępiające

milijonowe armije robactwa, zagrażającego zniszczeniem naszym plonom, nieraz bylibyśmy pozbawieni chleba. Wróbel przynosi nam nieporównanie więcej korzyści, od drobiazgowej szkody jaką wyrządza w ziarnie. Wszelako jestże głos dość silny, któryby zdołał sprostować fałszywe w tej mierze pojęcia naszego wieśniaka? Zabija on również kreta, najmocniej przekonany, że to niszczyciel roślin, nie wiedząc wcale o tem, że kret jakkolwiek często uszkadza korzenie roślinne, które spotyka na drodze w kopaniu podziemnych korytarzy, przynosi przecież nieocenioną usługę tępi[illegible]em kroci gąsiennic i robaków, głównych prześladowców roślin zbożowych. Gdybyśmy otworzyli żołądek kreta, przekonalibyśmy się, *że nie ma tam jednego ździebełka rośliny*, a natomiast są nagromadzone w wielkim mnóstwie szczątki robaków, gdyż kret jest niezmiernie żarłocznym.

Do najciekawszych i najużyteczniejszych ptaków, należy niezaprzeczenie *Agami*, odznaczający się nie tylko pięknem opierzeniem, ale nadto niepospolitym rozwojem władz umysłowych. W Kayennie, Agami zastępuje przedziwnie psa pasterskiego, którego obowiązki pełni z całą sumiennością. Drób domowy powierzony jego opiece, utrzymuje w porządku i w przykładnej karności. Niesie pomoc słabszym, godzi poważnione z sobą ptastwo, rozbraja walczących kogutów, łagodzi rozjątrzonych jędorów, czuwa nad sprawiedliwem rozdziałem żywności między swych podwładnych. Agami wyprowadza powierzony mu drób' w pole, i wraca z nim do domu bacząc pilnie, aby każdy z jego wychowanków spędził noc w bezpiecznem schronieniu. W Kayennie oddają mu pod dozór owce, a przyrodnik Sonnini dodaje, że ptak ten towarzyszy im na pastwisku, pełniąc służbę z równą jak pies gorliwością. Czaplowaty ten ptak zamieszkuje rozległe lasy Gujany; wiele jego gatunków przebywa w Brazylii, Kolumbii i w rozmaitych częściach Ameryki południowej. Żyje w stadach liczących do dwudziestu osobników. Żywi się dzikiemi owocami, jagodami, robakami i owadami. Indyjanie polują nań dla pozyskania piór przepysznie zabarwionych na piersi i szyi, któremi się też przyozdabiają. W Europie pióra te są używane do ozdoby kapeluszy damskich.

Oskarżamy o nieczułość kukułkę względem jej dzieci, a wcale niesłusznie. W istocie składa ona jajko w gnieździe innych ptaków, czyni to jednak dla tego, że sama gniazda nie może sobie obierać, gdyż znosi w oznaczonych odstępach czasu po jednem jajku. Posiadając własne gniazdo, musiałaby wysiadywać jajko, a jednocześnie pielęgnować wylęgłe już dziecię, co wymagałoby częstych wycieczek z gniazda. Z tej przyczyny kukułka podrzuca jajko innym ptakom, zapewniając tem samem karmicieli przyszłemu swemu potomstwu. Postępowanie więc tej matki jest spowodowane koniecznością. Zresztą kukułka używa podstępu przekonywającego najlepiej o przenikliwości jej myśli i przezorności macierzyńskiej. Wkładając jajko do gniazda wróbla, tłucze ona jedno z tam pozostających i wyrzuca je, aby wróblica wróciwszy do gniazda, zastała jednakową jaj liczbę. Skorupki znajdywane pod takiem gniazdem, dowodzą nam prawdziwości tego faktu, podawanego przez wielu naturalistów.

Pewien lubownik ptaków, miał szczygły do usłać się mającego gniazdka, podłożył im najpierw wełnę, którą zaraz zużytkowały. Nazajutrz ofiarował im watę; wyrzuciły wełnę, a zabrały watę; trzeciego dnia podsunął im puch z którego zaraz zaczęły wyściełać gniazdo, wyrzucając watę. Szczygły tem samem umiały oceniać wartość materyjału, coby nie miało miejsca, gdyby w procesie ich myśli nie nastąpiło porównanie.

Siewki zawierają widocznie przymierze ze straszliwemi potworami Nilu, krokodylami. Rozwartą gardziel tych płazów, zapełnia zwykle mnóstwo dokuczliwych owadów. Krokodyle nie mogłyby od nich się uwolnić, gdyby nie siewki, które śmiało zapuszczają się w ich paszczę i wybierają robactwo. Obie strony zyskują na przyjaźni; płaz pozbywa się niemiłych lokatorów, ptak znajduje obfite pożywienie.

Od ptaków przejdźmy do ryb. Gatunek zwany *głowaczem* jest tak przebiegły, że nie chwyta haczyka z przynętą. Ciernik samiec, wyżłabia sobie jamę w mule i otacza ją wałem z piasku, potem krząta się pilnie, szukając źdźbeł trawy lub korzonków jakiej rośliny, i składa to na spodzie jamy przysypując ją piaskiem, i cisnąc nań całym ciężarem swego ciała. Po ukończeniu tej czynności ciernik kładzie się w środku takiego dołu, wyciera go swem ciałem klejkowatem, dającem cement temu materyjałowi budowlanemu, poczem stawia dach i gniazdko w postaci tunelu gotowe.

Doktór Warwick bawiąc w Durcham, przechadzał się po parku hr. Stamforda nad sadzawką. Naraz wypływa ładny szczupak. Spostrzegłszy jednak człowieka, rzuca się w głębię wody i kaleczy sobie głowę o hak tkwiący w pływającej desce. Szczupak szamocze się, zanurza i wypływa, wreszcie wyskakuje na brzeg. Doktor podjął pacyjenta, opatrzył mu ranę i wrzucił do wody. Nazajutrz gdy stanął nad sadzawką, z niemałem zdziwieniem ujrzał szczupaka płynącego ku sobie. Ryba wyskoczyła na brzeg i złożyła głowę u nóg lekarza, który spostrzegł że rana zabliźniać się zaczyna. Następnych dni ilekroć Warwick przechadzał się nad sadzawką, szczupak przypływał, pozwalał się mu ujmować, jadł z jego ręki, chociaż dla innych osób był całkiem nieprzystępny.

Płazy niemniej są inteligentne. Ropucha Lacèpeda, przez trzydzieści sześć lat przychodziła co wieczór na ucztę do tego naturalisty, złożoną z much, stonogów i robaków.

Mrówki opisywane przez Hubera i Blancharda, składają wiele świadectw swych zdolności umysłowych. Tworzą one państwo demokratyczne, jak gdyby odczytywały Platona. U tych republikanek własność jest wspólna; dzieci należą do państwa, którego dobro jest na pierwszym względzie. Samice jakkolwiek uwielbiane przez tłumy lubowników płci pięknej, nie mają żadnego głosu w sprawach polityki: dom, rodzina całem ich królestwem.

Chcąc podziwiać społeczny ustrój mrówek, potrzeba przyjrzeć się z bliska ich obyczajom. Przypatrzmy się ich galeryjom i korytarzom podziemnym, piwnicom, śpichrzom i chodnikom, ich wydójce słodkawego płynu jakiego im dostarczają mszyce, ich bitwom strategicznym, a jeżeli to wszystko nie przekona nas o istnieniu zdolności umysłowych w tej rzeszy zwierzęcej, to postawmy je w warunkach, w których instynkt nie może odgrywać żadnej roli.

Owóż tak sobie postąpił jeden z naszych przyrodników. Zbliżywszy się do mrowiska ustawił przy niem cebrzyk z wodą, i puścił na nią korek na którym pomieścił schwytaną mrówkę. Na cebrzyku położył w kierunku poziomym drewniany drążek, i w ten sposób wytworzył w minijaturze sztuczną, pływającą wyspę z więźniem, nad którą drążek stanowił niby most wysoko wzniesiony. Po ustawieniu w ten sposób przyrządu swego pomysłu, badacz nasz oddalił się o kilka kroków, usiadł na zrębie dębu, uzbroił się w cierpliwość, i czekał co poczną mrówki w celu oswobodzenia więźnia, objawiającego całą postacią żywą niespokojność.

W kilka chwil potem, mrówki spostrzegłszy towarzyszkę w tak niefortunnem położeniu, zaczęły się gromadzić i naradzać. Jaką porozumiały się z sobą mową, trudno orzec; dość że porozumiały się przedziwnie. Owóż wstąpiły na most zaimprowizowany, najsilniejsze z nich uczepiły się środka drążka, tuż nad liną prostopadłą, wiodącą do wyspy z branką a inne zstępowały po ich ciele, i zahaczone wzajemnie nożkami, tworzyły ruchomy łańcuch, obniżający się coraz więcej ku wodzie. Ostatnie ogniwo tego żywego łańcucha, dotknęło wreszcie korka. O radości! branka na to tylko oczekiwała, w mgnieniu oka czepia się towarzyszek, przebiega po ich ciałach, dostaje się na most *vulgo* drążek, i razem ze swemi oswobodzicielkami, przebywa go w tryumfalnym pochodzie. Nasz badacz cieszył się jak dziecko, sprawdził bowiem faktem, istnienie myśli w tych drobnych jestestwach.

W społeczeństwie pszczół napotkalibyśmy nowe świadectwa ich inteligencyi. Gdy zbiór miodu jest obfitszym i brakuje naczyń do jego pomieszczenia, pszczoły robocze odrzucając przyjęty zwyczaj, przedłużają dawne komórki lub nowym nadają większe rozmiary. Budownictwo ich odpowiada tem samem jak najściślej potrzebie. Gdy pszczoła robocza zwiedza po kolei przegródki miodowe, i w takie komórki które się jej wydają niedość zaopatrzone, płyn wtryskuje, czyż nie dowodzi swego zmysłu spostrzegawczego? Nie zamykajmy oczu na światło prawdy, powiada Blanchard, upierając się przy mniemaniu, że zwierzęta są tylko machinami.

Z tych kilku faktów czytelnik osądzić może, że zwierzęta posiadają myśl i uczucie, gdyż kochają i pragną być kochanemi; gdyż sąd przejawia się we wszelkich sprawach ich życia. Obyczaje zwierząt na każdym kroku udowadniają tę prawdę, już dziś nie potrzebującą rzecznika, przynajmniej w dziedzinie wiedzy przyrodniczej. Jestestwa bezmyślne, głupowate, nie byłyby dziełem godnem rozumnego Stwórcy, który w całym wszechświecie rozlał myśl i uczucie. Pojęcia te nie powinny i nie mogą w niczem uwłaczać podniosłemu stanowisku człowieka, zawsze on dzierżyć będzie berło panowania nad temi rzeszami o

skromnych zasobach myśli. Człowiek dziś użytkuje prawie wyłącznie z fizycznej tylko siły zwierząt, przyjdzie czas wszakże, że korzystać będzie z ich umysłowych zdolności, a wtedy pozyska z nich sługi daleko użyteczniejsze. *Wincenty Niewiadomski.*

ZARYSY.

Gubernij północno i południ.-zachodnich,

skreślił

Jan ze Śliwina.

(Ciąg dalszy,—patrz Nr 46).

XVI.

Znaczniejsze miasta i osady w gubernii Mohilewskiej.

W zachwycającej okolicy położonym jest *Mohilew*, główne miasto gubernii mohilewskiej. Zbudowane na znacznej wyniosłości, ma u stóp swoich z jednej strony szeroki, wspaniały *Dniepr*, a z drugiej *Dubrowienkę*. Wysoka góra Kostrą [1]) zwana, oddziela samo miasto od Dniepru, po za którym ciągnie się obszerne przedmieście Łupołowo. Pomiędzy tem ostatniem a samem miastem dwuwiorstowa płaszczyzna, co rok na wiosnę zalaną bywa wodami Dniepru. Po za Dubrowienką, inne przedmieścia. Główne miasto otaczał wał, zamieniony po roku 1830 na piękne bulwary, z prześlicznym widokiem na Dniepr i okolice.

W latopisach zaledwo w wieku XIII znajdujemy wzmiankę o Mohilewie. Umarł tu bowiem Lew książę Włodzimierski, skąd miało powstać i nazwisko Mohilewa, t. j. *mogiła Lwa.* Inni założenie miasta przypisują Lwowi mężnemu, księciu Połockiemu. Jest jeszcze przypuszczenie, że gdy głównem miastem Radymiczów, była *Radomia*, na tem miejscu gdzie dziś Mohilew, była wioska *Mohilaki*, zamieszkała przez rybaków. Lecz jaki mógł być związek tych rybaków z nazwiskiem Mohilaki, nie wiemy. Na ziemiach słowiańskich mamy Mogielnicę, Mogilno, Mogiłę, Mogilany, Mohylna i kilka innych, a wszystkie niezawodnie otrzymały nazwanie od dawnych mogił z czasów pogańskich. Najprawdopodobniej więc, że i w tem miejscu, gdzie dziś Mohilew, w odległej przeszłości, u pogan jeszcze Radymiczów było prastare cmentarzysko, od którego, czyli od mogił, następnie i osada tak nazwaną została. Starzy ludzie, którzy pamiętali dawny stan wałów, przed ich przerobieniem na bulwary, opowiadali, że śród wałów, nad samym Dnieprem była wyniosłość dość znaczna, okrągława. Mogło więc to być stare horodyszcze słowiańskie. Obok tego ruiny dawnego zamku stały osobno.

Z pewnością wiadomo, że w roku 1320 Mohilew należał już do księstwa Witebskiego, którego granice sięgały aż po Berezynę. Zdaje się jednak, że przed tem należeć musiał do księstwa Mścisławskiego. W r. 1386 w Krakowie, w liczbie panów i książąt otaczających Jagiełłę, był i Andrzej książę Mohilewski. Wszakże ostateczne podbicie tego kraju przez Litwę pod wodzą Witolda nastąpiło w r. 1395. Od tego czasu widzimy już stałych namiestników książęcych. Od r. 1514 byli już starostowie mohilewscy. Zdaje się, że pierwszym był Jerzy Despot Zenowicz, po nim Jerzy Szytotowicz, Iwan Naruszewicz, książęta Sołomierieccy, Aleksander Chodkiewicz, Jamontowicz, Dymitr Chalecki i inni. Sławny Lew Sapieha był także starostą mohilewskim.

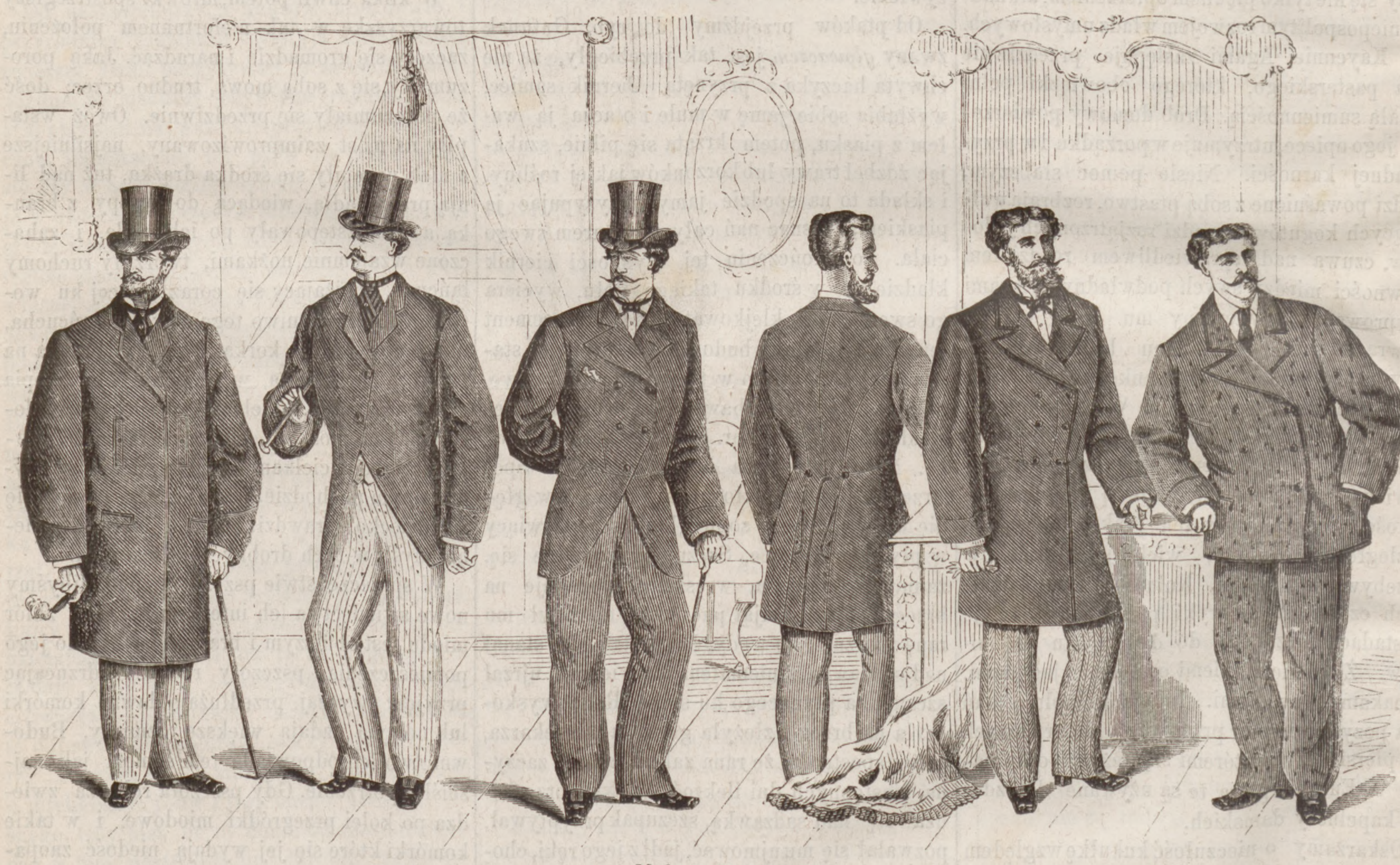
Miasto nie miało praw szczególnych i cierpiało wiele od nadużyć służalców starościńskich. Zygmunt August w r. 1561 nadał mu prawa municypalne, ustanowił wójta i setników. Później Batory w 1578 nadał miastu tak zwane *większe* prawa magdeburskie.

Handel i bogactwo miasta w wieku XVII były znaczne. Mieszczanie mohilewscy pływali Dnieprem do Kijowa, Kaniowa i Czerkas, a nadto wysyłali swoje produkta do Torunia, Gdańska i Królewca. Główniejsze artykuły wywozowe były: konopie, gorzałka, wosk, miód, olej, łój, dziegieć.

Kozacy w 1648 pod dowództwem Hładkiego cały rok trzymali Mohilew, wypędzeni w końcu przez Janusza Radziwiłła. Czas jakiś należał Mohilew do Aleksego Michajłowicza (1654—1661). Później Piotr Wielki był w Mohilewie w r. 1709 z wojskiem i od siebie obdarzył miasto przywilejami.

W r. 1772 Mohilew po pierwszym podziale przyłączony został do Rossyi, był z początku miastem powiatowem, a od r. 1773 gubernijalnem. W r. 1780 cesarzowa Katarzyna W. miała tu zjazd z cesarzem Józefem II i wówczas fundowała tu soborną, piękną i bogatą cerkiew pod wezwaniem ś-go Józefa. Ostatni także przyczynił się hojnie do tej fundacyi.

Ówczesny namiestnik hr. Czernyszew urządził gościom prawdziwie cesarskie przyjęcie. Mały Mohilew zgromadził szlachtę i urzędników z dwóch gubernij, to jest Mohilewskiej i Połockiej, zebrano znaczny korpus wojsk pod dowództwem jenerała Rżewskiego na mane-



Mody męzkie zimowe.

[1]) Kostra albo Kostiernia, od kości; usypana bowiem na miejscu gdzie ciała zabitych pogrzebiono.

wra przed cesarzem Józefem, sprowadzono z Petersburga nadworną włoską operę, muzykę dworską, oraz kilku słynnych artystów i artystek, pomiędzy któremi odznaczała się znakomitość ówczesna Bonafina. Głośny w owym czasie architekt Brigonzi zbudował teatr i wielkich rozmiarów salę balową. Jakoż festynom i uroczystościom końca nie było, przez czas siedmiodniowego pobytu tu panujących.

Za najstarożytniejsze prawosławne cerkwie i monastery uważane są: Spasa, Ilii proroka, ś-go Mikołaja, Kozmy i Damijana, ś-ej Trójcy, Narodzenia Najświętszej Panny, Podwyższenia ś-go Krzyża.

Kościół katolicki pierwszy stanął tu w roku 1604. Była tu missyja Jezuitów od r. 1668, klasztory: Bernardynów od r. 1687 i Karmelitów od r. 1698. Wspomnieliśmy już wyżej, że kraina mohilewska należała do rzymsko-katolickiej dyjecezyi wileńskiej. Po pierwszym podziale Polski, suffraganem białoruskim w Obolcach mianowany został ks. Bohusz Siestrzencewicz, któremu Pius VI bullą 15 sierp. 1778 r. nadał władzę prawie dyjecezalną za kordonem Kalwin z urodzenia, słuchacz kursów na pierwszych akademijach w Europie; oficer pruskich huzarów, następnie kapitan gwardyi litewskiej, nauczyciel Radziwiłłów zyrmuńskich, katolik nawrócony, ksiądz, ulubieniec biskupa Massalskiego, proboszcz bogatych parafij w Homlu i Bobrujsku, kanonik wileński, czasowy administrator dyjecezyi wileńskiej, już wtedy autor dzieł kilku, Siestrzencewicz w r. 1773 zwrócił na siebie uwagę wielu dworów europejskich, kazaniem powiedzianem w Wilnie z powodu zamachu na życie Stanisława Augusta, które, z rozkazu króla na kilka języków przełożone i w Europie po różnych miastach stołecznych drukiem ogłoszone zostało. Nic więc dziwnego, że Siestrzencewicz wkrótce potrafił zjednać sobie względy Katarzyny II. Jakoż w r. 1782, ukazem z d. 17 stycznia, cesarzowa ustanowiła we własnem państwie *arcybiskupstwo mohilewskie*, papież zaś na jej prośbę polecił nuncyjuszowi swojemu Archetti włożyć na Siestrzencewicza palijusz arcybiskupi, co dopełnionem zostało d. 29 stycznia 1784 r.

Od tego czasu, z władzą metropolity wszech rzymsko-katolickich kościołów w cesarstwie, z tytułem legata apostolskiego, oraz komandora i wielkiego jałmużnika zakonu ś-go Jana Jerozolimskiego, w purpurze kardynalskiej, wyjątkowo przez Ojca ś-go nadanej metropolitom Rossyi, Stanisław Bohusz Siestrzencewicz przez lat 50, do r. 1826, w którym umarł d. 1 grudnia mając wieku 94 lata, rządził samoistnie kościołem katolickim w całej Rossyi.

Po Siestrzencewiczu nastąpił najstarszy z biskupów w Rossyi, biskup z kosper Kalei Kijowski, Piński [1]) i w końcu Łucki, Kazimierz Kolumna Cieciszewski — od roku 1827 do 1831. *Trzecim* był, po 11-letniej przerwie, biskup Megary, suffragan Kamieniecki, administrator archidyjecezyi mohilewskiej, Ignacy Ludwik Korwin Pawłowski od r. 1841 do 1842. *Czwartym* prałat wileński, suffragan Kurlandzki, biskup Milty, Kazimierz Pobóg Dmochowski, po sześcioletniej przerwie od 1848—1851. *Piątym* był rektor akademii duchownej, koadyjutor mohilewski, biskup karysteński, Ignacy Hołowiński od 1851—1855. *Szóstym*, biskup wileński, Wacław Żyliński od 1856—1863. Następnie rządził archidyjecezyją jako administrator, biskup Plater, dominikan Maksymilijan Staniewski do r. 1870. Obecnie *siódmym* z kolei metropolitą arcybiskupem, jest b. rektor akademii duchownej w Wilnie, następnie biskup Kamieniecki, ks. Antoni Fijałkowski.

Arcybiskupstwo Mohilewskie, którego katedrę obecnie przeniesiono do Petersburga wraz z kapitułą, konsystorzem i seminaryjum, bodaj największe w świecie, jest gdyż oprócz gubernii Mohilewskiej i Witebskiej, a także trzech nad-Baltyckich, do niego należy Finlandyja i wszystkie wewnętrzne gubernije Rossyi, nawet Syberyja aż do Kamczatki. [1])

Obecnie w Mohilewie jest 29 cerkwi prawosławnych i 2 monastery. Z tych Bracki odznacza się wspaniałością i piękną architekturą. Drugi monaster p. w. Przemienienia Pańskiego.

Kościołów katolickich dwa i klasztor Maryjawitek nadetatowych. Kościół luterski 1.

Podług ostatnich wiadomości ludność miasta wynosi 40,431. Z tych kupców 1,078, mieszczan 26,000. W posiadaniu miasta jest 5,364 dzies. ziemi. Domów przeszło 3,000, z tych blisko 400 murowanych. Magazynów i sklepów przeszło 1,000, z tych murowanych 692. Zakładów fabrycznych jest 208, najwięcej zaś skórnych. Pod względem wyrobu, skóry i safijan mohilewskie są znane i poszukiwane.

O kilka wiorst od miasta jest majątek *Szczeglic*, który odziedziczył obywatel Paskiewicz po żonie swojej Korobańko. Tu urodził się syn ich książę Warszawski, hr. Erywański. Był tu później utworzony majorat, ale dziś już Szczeglic sprzedany przeszedł w inne ręce. Śród pięknych okolic Mohilewa znajduje się także *Pittenberg*, niegdyś własność Janczyna bogato i gustownie zabudowany, w czarownem położeniu.

Po wojnie francuskiej, gdy wojska rossyjskie wróciły do kraju, główna kwatera pierwszej armii ustanowioną była w Mohilewie. Główno-dowodzącym był jenerał feldmarszałek książę Fabijan Osten-Saken. Jednocześnie przeniesiono tu korpus kadetów ze Szkłowa. Świetne to były czasy dla Mohilewa. Liczny dwór otaczający feldmarszałka, wielu jenerałów i oficerów sztabowych, a jeszcze więcej ciągle przybywających tu za interesami oficerów dowódców z 600,000 armii, nadawały ruch niezwykły miastu i wzbogacały mieszkańców. Główna kwatera i korpus kadetów w r. 1829 przeniesione zostały do Kijowa. W gmachu gdzie się mieścił korpus, urządzono gimnazyjum.

W późniejszych latach utworzony tu został główny zarząd okręgowy dróg i komunikacyj. Jemu to zawdzięczać należy ozdobienie miasta wielu pięknemi gmachami.

Obecnie w Mohilewie jest gimnazyjum męskie i żeńskie, seminaryjum i szkoły duchowne prawosławne, oraz pomniejsze szkoły.

Szklów, miasto na prawym brzegu Dniepru, z ruinami zamku dawnego, dziedzictwo Chodkiewiczów. Sławny hetman Jan Karol pisał się hrabią na Szkłowie. On to na dawnem grodzisku silną warownię urządził. Aleksander Chodkiewicz wojewoda Trocki wprowadził tu Dominikanów w r. 1619 i znaczną biblijoteką klasztor ich opatrzył. Przed tem był tu zbór kalwiński, który im zabrano i na kościół zamieniono. Zbór ten przez Chodkiewiczów, którzy wprzód kalwinami byli, w XVI w. został założony. Szkłów pamiętny srogą klęską, jaką tu poniósł hetman wielki litewski Janusz Radziwiłł w r. 1654 od wojsk rosyjskich. W roku 1708 w Szkłowie odbył przeprawę wojsk swoich jenerał szwedzki Lewenhaupt, dla połączenia się z wojskami Karola XII.

Od Chodkiewiczów przeszedł Szkłów ze znacznemi włościami do domu Czartoryskich, a po pierwszym podziale, Katarzyna II, darowała Szkłów jenerałowi hrabiemu Zoryczowi (Serbowi), który fundował tu korpus kadetów, wzniósł wspaniały pałac i teatr. Katarzyna II z cesarzem Józefem bawiła dzień cały i nocowała w Szkłowie 31 maja 1780 r. Przyjęcie przygotowane przez Zorycza było nadzwyczaj świetne. Sam serwis sprowadzony z Drezna, jak pisze Engelhardt w swoich Pamiętnikach, kosztował 60,000 rubli. Gdy zapalono sztuczne ognie, każdy bukiet strzelał 50-ciu tysiącami rac.

Korpus jak już wspomnieliśmy przeniesiono później do Mohilewa, a sam Szkłów drogą sukcesyi dostał się jenerałowi Dymcewiczowi (także Serbowi) i innym krewnym. Następnie przechodząc różne koleje dziś jest własnością p. Wojejkowa. Przez cały czas pobytu pierwszej armii w tych stronach, do dobrobytu Szkłowa wiele się przyczyniło utworzenie w tem mieście głównej intendentury pod zwierzchnictwem słynnego później ministra skarbu w Rossyi hr. Jerzego Kankryna i jego następców hr. Santi i ostatniego Pirogowa, który z prostego żołnierza dosłużył się rangi jenerała artylleryi. Za jego rządów intendenturę przeniesiono do Kijowa. Wszakże i potem długo jeszcze stan Szkłowa pod względem handlowym był kwitnący; był bowiem zawsze punktem nader ważnym dla kupców. Stąd jako z głównego składu transportowano Dnieprem, a następnie Dźwiną dziegieć, smołę i inne produkta leśne. Były tu trzy jarmarki do roku, na które zjeżdżali się kupcy z Petersburga, Moskwy i Niżniego Nowgorodu. Szkłów miał własny obszerny dom gościnny dla kupców. Jeszcze w r. 1866 liczono tu 2 tysiące domów i 12,000 mieszkańców. Niedawnemi czasy pożar prawie do szczętu zniszczył Szkłów, który z otwarciem kolei żelaznych stracił zupełnie dawne handlowe znaczenie.

Propojsk, nad Sożą niedaleko Mohilewa

[1]) Pińskiego biskupstwa katolickiego w rzeczywistości nigdy nie było, ale w r. 1796 po podziale, gdy Siestrzencewicz zajął pod swoję władzę Kamieniec i Białystok, rząd wydał rozkaz, że wszystko to czego nie zajął arcybiskup Mohilewski ma zająć Cieciszewski z tytułem *biskupa Pińskiego*, a ks. Sierakowski, suffragan przemyski, proboszcz humański, z tytułem *biskupa Latyczowskiego.* Tak więc Cieciszowski był biskupem Pińskim, a rządził dyjecezyją Łucką i mieszkał w Łucku.

[1]) Oprócz wymienionych przez nas dekanatów w gub. Witebskiej i Mohilewskiej, do arcybiskupstwa tego należą wszystkie kościoły w Petersburgu i Moskwie, a nadto w Archangielsku, Wołogdzie, Charkowie, Kazaniu, Symbirsku, Orenburgu, Połtawie, Czernihowie, Woronežu, Orle, Permie, Kursku, Kałudze, Krasnojarsku, Irkucku, Nerczyńsku, Złatosławiu, Tomsku, Tobolsku, Omsku i w kraju Amurskim. Ludność katolicka archidyjecezyi wynosi obecnie 436,167 dusz.

(dziś w powiecie Bychowskim). Przed rozbiorem było tu znaczne starostwo Sołtanów. Na początku zaś tego stulecia należał do Dymitra Janczyna. Był on synem wódczanego przedsiębiercy i odziedziczył milijonowy majątek. Janczyn był epikurejczykiem, ale zarazem człowiekiem dobroczynnym. Lubił sztuki piękne. Wspaniały pałac jego zawierał wiele cennych przedmiotów. Była tu bogata galeryja obrazów, drogocenne wyroby z marmuru znakomitych mistrzów, biblijoteka, muzeum osobliwości, antyczne bronzy, porcelana i t. d. Gościnność Janczyna była głośną. Zjeżdżano się do Propojska z dalekich nawet stron. Wszystko co tylko gastronomija, zbytek i wytworny smak wymyśleć mogą, wszystko to było w Propojsku. Niemniej on był słynnym z dobroczynności. Chętnie pomagał ludziom, ale nie zawsze na to zasługującym. Nasz Józef Bychowiec, znany pisarz, po wojnie 1812 r., czas jakiś bawił w Propojsku, a swoim dowcipem i rzeczywistą głęboką nauką potrafił sobie zjednać Janczyna do takiego stopnia, że ten na odjezdnem, wiedząc że Bychowiec goły, ofiarował mu 15,000 rubli. Niestety! Wystarczyło ich zaledwo na kilka tygodni, bo B. umiał tracić i trwonić niegorzej od Janczyna. Takim też umarł w Wilnie w później starości. [1]) Jakiemuś poecie za czterowiersz, expromtem wypowiedziany Janczyn darował piękną wieś. [2]) Tak zmarnował milijonowy majątek, rozpił się i umarł na słomie. Część bogatej galeryi obrazów propojskiej zakupił hr. Miłoradowicz, jenerał gubernator Petersburga zabity w czasie grudniowego rozruchu w 1825 r.

W okolicach Propojska leży wieś *Leśna*; pamiętna bitwą Szwedów z Piotrem W. Cesarz Mikołaj umyślnie zjeżdżał i przypatrywał się miejscowości. Był nawet projekt wzniesienia tu pomnika na pamiątkę mężnych Rossyjan poległych w tem miejscu. Ale projekt nie przyszedł do skutku.

Druck, nad rzeką Drucią i przy wielkiem jeziorze, przez które Druc przechodzi. Na kępie jeziora widać jeszcze wały, które zamek otaczały. Jest to gniazdo znakomitych książąt Druckich, którzy z czasem na pięć głównych linij podzielili się: książąt Druckich-Lubeckich, Druckich-Sokolińskich, Druckich-Horskich, Druckich-Podbereskich i Druckich-Ozierskich. Do tegoż starożytnego domu, potomków Włodzimierza W., zaliczają i książąt Bokrynowskich, a jak słusznie domyśla się Bartoszewicz z tegoż domu pochodzą książęta Putiaty, albo Puciatycze.

Hołowczyn nad rzeką *Babiczą*, niedaleko Mohilewa, w głębokich lasach, gniazdo książąt Hołowczyńskich, z krwi Ruryka pochodzących; przed przesiedleniem się do Litwy byli panami na Riapołowie w kraju Suzdalskim i nazywali się książętami Riapołowskimi (a nie „Rafałowscy,“ jak mylnie twierdzi Niesiecki). Hołowczyńscy w XVI wieku byli kalwinami i zbór tu fundowali. Ród ten wygasł w drugiej połowie XVII wieku, a Hołowczyn z Jeznem (w Trockiem) przeszły do Paców, później zaś Hołowczyn stał się dziedzictwem Służków. O starożytności tej osady przekonywa wspomnienie latopisa, który mówi, że w roku 1071 Jaropełk Izasławowicz zwyciężył pod Hołowczynem księcia Połockiego Wszesława. Hołowczyn pamiętny jeszcze bitwą roku 1708 między Karolem XII a wojskiem Piotra W., a było to ostatnie zwycięztwo króla szwedzkiego. Obecnie w Hołowczynie liczą do tysiąca mieszkańców. (d. c. n.)

[1]) Bychowiec autor i tłómacz dzieł wielu (ważniejsze: Spór filozofii z teologiją, Sztuka zapobiegania chorobom; tłómaczenie Kanta, Herdera i innych) urodz. 1778, w Wilnie 1845 w ostatnej nędzy, żyjąc ze wsparcia przyjaciół, a gdy wóz z trumną wyjeżdżał z bramy (Kossobudzkich), wjeżdżał w nią w tej chwili inny naładowany kuframi ze znaczną sumą pieniędzy. Była to pozostałość po bracie czy krewnym Bychowca, którą właśnie do niego wieziono.

[2]) Oto jest ten wiersz, który dla osobliwości podajemy w oryginale, bo przełożyć go trudno.

Ty nie Dmitryj Donskoj,
Nie Dmitryj Samozwaniec;
No Dmitryj ty Propojskoj
I pijanica z pijanic!

GAWĘDY HIGIJENICZNE I LEKARSKIE.

XV.

Co i jak powinniśmy jeść?

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

(Dokończenie).

Wyciąg (ekstrakt) *mięsny Liebiga*, stanowi środek pożywny, wspierający bardzo przemianę materyi i silnie takową pobudzający; prócz tego, jako nadzwyczaj łatwo strawny, okazuje się on odpowiednim do użycia, przy najmocniejszem rozstrojeniu i osłabieniu żołądka. Wyciąg ten jest poprostu rosołem (bouillon), z którego woda została wydaloną przez odparowanie, zatem jest to czysty sok mięśniowy. Przygotowuje się on z najlepszego, świeżego mięsa wołowego, tak, że funt wyciągu zawiera wszystkie rozpuszczalne części trzydziestu funtów samego mięsa bez tłuszczu. Rzeczony wyciąg można śmiało nazwać środkiem leczniczym, gdyż posiadając w swym składzie znaczną ilość fosforanów oraz tlenku żelaza, zaopatruje on krew, przy najbardziej nawet upośledzonem trawieniu, w materyje, koniecznie potrzebne do odżywiania osłabionego ustroju, i dla tego, przy durze (tyfusie) głodowym, przy niedokrwistości, dla osób wyzdrawiających (rekonwalescentów), wypada mu oddać pierwszeństwo przed chininą i żelazem, które zazwyczaj przepisują lekarze w podobnych wypadkach, lecz które mało przynoszą pożytku, rozstrajając mocno trawienie. Nie należy jednak zapominać, jak to zdarzyło się nie jednemu z lekarzy, że wyciąg mięsny Liebiga nie wystarcza sam do odżywiania ustroju; lecz dopiero w połączeniu z białkowatemi, tłuszczowemi i tłuszcz tworzącemi materyjami, jak np. z jajkiem, mięsem, owocami strączkowemi, potrawami mącznemi, jarzynami, kartoflami, ze szmalcem lub masłem i t. p., stanowi najpożywniejszy pokarm. Wyciąg mięsny można używać także w niewielkich ilościach do przyprawy zup, sosów, rakahu (racahout des Arabes) i wszelkich potraw (zwłaszcza z jarzyn i owoców strączkowych) jasną jest rzeczą, że użycie wyciągu w gospodarstwie domowem, przedstawia wielką oszczędność.

Wynalazek tego wyciągu, zawdzięczamy znakomitemu chemikowi, profesorowi Liebig, znanemu również ze swych dobroczynnych dla ludzkości badań nad uprawą roślin, używanych za pokarm. Jego to staraniom, zawdzięczamy nie mniej stosunkową taniość pomienionego szacownego wyciągu, który bywa przygotowywanym w krajach, gdzie najlepsze, świeże mięso wołowe posiada nadzwyczaj niską cenę, mianowicie w krajach stykających się z La-Platą i w Brazylii, obecnie zaś w Fray-Bentos (Uruguay). Dwóch uczniów Liebiga, przez niego samego wybranych, mianowicie, jeden przy zakładzie w południowej Ameryce, a drugi przy głównym składzie w Antwerpii, dogląda, ażeby wyciąg był ściśle podług jego metody przygotowywany. Ostatecznie zaś, nim wyciąg przejdzie do handlu, sam Liebig i jego pełnomocnik, profesor Pettenkofer, badają jeszcze raz takowy. Tym sposobem, kupujący może być zupełnie przekonany, że otrzyma prawdziwy wyciąg mięsny Liebiga, jeśli tylko zwróci uwagę na etykietę opatrzoną w cechę fabryczną, oraz w podpisy Liebiga i Pettenkofera, znajdującą się na każdym słoiku.

Prawdziwy wyciąg mięsny Liebiga przedstawia gęstą, kleistą massę, jasnobrunatnej barwy, mocnej woni mięsnej, która po rozpuszczeniu jej w wodzie gorącej i osoleniu, posiada bardzo przyjemny smak rosołu. Ćwierć łyżeczki wyciągu, wystarcza na przygotowanie w kilka minut filiżanki dobrego rosołu; z jednego funta wyciągu, za dodaniem kartofli i chleba, można przyrządzić pożywną, mocną zupę dla stu trzydziestu osób. W domowem gospodarstwie samego Liebiga, przygotowują w następujący sposób smaczną zupę dla siedmiu osób: do dwóch kwart wody, dodają pół funta potłuczonych na drobne kawałki kości, lub dwa łuty wołowego szpiku, oraz korzeni i jarzyn używanych zazwyczaj do zupy; mieszaninę tę warzą, dopóki jarzyny i korzenie nie rozgotują się (w ciągu godziny), potem wyjmują kości i kładą 20 gramów (1½ łuta) lecz nie więcej, wyciągu mięsnego, oraz stosowną ilość soli. Przyrządzonej w taki sposób zupy, nie można ze smaku odróżnić od zupy zgotowanej na świeżem mięsie.

Wreszcie wypada nadmienić, że wyżej opisany wyciąg mięsny, nie ma nic wspólnego z tak zwanym *suchym bulionem* (consommé), który to ostatni jest niczem innem, jak tylko klejem stolarskim i nigdy nie może zastąpić wyciągu. Należy także unikać innych tańszych wyciągów mięsnych, stanowiących zazwyczaj massę galaretowatą, złożoną z kleju i łatwo pleśniejącą, gdy tymczasem, prawdziwy wyciąg nie pokrywa się nigdy pleśnią, i może być przechowywany bez szczególnych ostrożności przez kilka lat, w każdym klimacie.

Po wyciągu mięsnym Liebiga, najwięcej zasługuje na uwagę *suche* czyli *skoncentrowane mleko*, przygotowywane głównie w Szwajcaryi, o ile wiadomo autorowi, w dwóch miejscach, mianowicie: w Cham i w Vevey. Liebig poddawał rozbiorowi mleko chamskie i zaświadczył, że ono składa się z czystego mleka krowiego i najlepszego cukru rafinowanego, posiada wszystkie własności zupełnie czystego osłodzonego mleka i według wartości swej całkiem zasługuje na rozpowszechnienie w wiel-

szych zwłaszcza miastach, gdzie z każdym dniem coraz trudniej jest nabyć świeże, czyste mleko. Pomienione mleko skoncentrowane, otrzymywane w suchej lub gęstej postaci, będąc rozpuszczone w 4½ lub 5 częściach wody, daje ciecz, która posiada wszystkie własności czystego mleka, osłodzonego cukrem. Ze smaku mało się ono różni od świeżego, przegotowanego mleka, i zawiera: 22,44 części wody, i 77,56 stałych materyj; te ostatnie składają się z dodanego do mleka cukru (rafinowanego), oraz z masła, cukru mlecznego i sernika (twarogu), t. j. części składowych mleka odparowanego za pomocą szczególnego przyrządu. Wszystko, co Liebig powiedział o mleku Chamskiem, odnosi się również i do mleka skoncentrowanego z Vevey. Mleko to, po zagotowaniu, odznacza się bardzo przyjemnym smakiem dobrego, świeżego i niezbieranego mleka, jest wielce pożywnem i okazuje się odpowiedniem do karmienia noworodków.

Co do *wyciągów słodowych*, te nie zawierając wcale materyj białkowatych lub tylko niektóre, w bardzo małej ilości, są niewystarczające do odżywiania; lecz za to obfitują one w cukier, podobnie, jak wszystkie przetwory słodowe, i dla tego mogą służyć do zastąpienia tłuszczu i materyj tłuszcz tworzących, niezbędnych do ogrzewania ustroju. Są one przytem z powodu rozpuszczalności swych części składowych, bardzo łatwo strawne i bynajmniej nieszkodliwe, gdyż nie zawierają ani kwasu węglanego, ani też alkoholu. To jednak, cośmy tu powiedzieli nie odnosi się do pewnego gatunku wyciągu słodowego, znajdującego się w handlu, pod nazwą Hoffa, który to wyciąg jest poprostu zwyczajnem piwem brunatnem, z dodatkiem różnych ziół, i z powodu swej wysokiej ceny, może być zaliczony do tajemniczych, szalbierskich środków leczniczych. Prawdziwy wyciąg słodowy jest płynem syropowatym, brunatnym, otrzymywanym z odwaru słodowego (t. j. z nasion zbóż doprowadzonych do kiełkowania, w których mączka na cukier została zamienioną), przez powolne odparowanie. Można go używać z wodą, lekkiem piwem, mlekiem i t. p., stosownie do potrzeby, w większej lub mniejszej ilości. Ze znanych nam wyciągów słodowych, zasługuje na zalecenie: wyciąg słodowy Loeflanda, dra Linca, dra Doebereinera, Fleischera i Uliga. Mniemanie, jakoby wyciągi słodowe wybornie leczyły choroby płuc, jest niczem więcej, jak dziecinnym przesądem.

NASZE PODRĘCZNIKI
do nauki historyi powszechnej.

Nauczyciel, podejmujący się dzisiaj wykładu historyi w domach prywatnych, w prawdziwym znajduje się kłopocie, jeżeli tylko sumienne pragnie wywiązać się z przyjętych obowiązków. Kłopot ten ma źródło swoje głównie w literaturze pedagogicznej, która na pierwsze zawołanie może się pochwalić znacznym stosunkowo zasobem podręczników mniejszych i większych, napisanych według tej lub innej metody przez ludzi, uznanych powszechnie za powagi na polu pedagogii i nauki; przez ludzi, którzy będąc z powołania nauczycielami, położyli w swym zawodzie nie małe zasługi. Zdawałoby się tedy, że już to jedno powinno wystarczyć za wszelką rękojmię podręcznika i że nauczycielowi obeznanemu z pracami „zasłużonych" pedagogów, nie pozostaje nic innego, jak tylko uwzględniwszy wiek i uzdolnienie ucznia, wskazać najodpowiedniejszy podręcznik....

Aliści usłuchać tej rady jest prawdziwem niepodobieństwem. Wybór staje się trudnym nie tyle dla obfitości prac historycznych, ile ze względu na ich braki. Bywają one dwojakie, albo pedagogiczne albo też naukowe. Zdarza się nawet i to, że i jedno i drugie podaje sobie przyjacielsko dłonie, aby złożyć się na podręcznik, zakrawający na zupełne absurdum. Nieumiejętne ugrupowanie, lub nieumiejętny wybór faktów, zupełny brak treści, zostający w zgodzie a często i w wojnie z rozmiarami książki, albo też odwrotnie, zbyteczne nagromadzenie szczegółów, oto braki, których niepodobna nie dostrzedz w pierwszym lepszym podręczniku, skoro się go weźmie do ręki. Zdawałoby się że nazwiska Zdanowiczów, Duruyów i t. d. same powinny świadczyć o wartości prac. Tymczasem właśnie owe renomowane dzieła pedagogów, nie mogą żadną miarą zadowolnić nauczyciela. Wszystkie prawie nie odpowiadają najgłówniejszym wymaganiom pedagogii, a większa ich część nie odpowiada nawet wymaganiom nauki. Co do tych ostatnich możemy tymczasowo zamilczeć, a zobaczymy naprzod jakie są pierwsze.

Wiele dałoby się powiedzieć o tem, kiedy mianowicie wypadałoby rozpoczynać z młodem pokoleniem naukę dziejów i wszelkich w ogóle nauk historycznych. Możnaby wiele zarzucić zwyczajowi, powszechnie praktykowanemu w tej mierze. Niewłaściwości jego i niedogodności są znaczne, lecz to już nie tyle z winy podręczników, a zadaniem naszem jest obecnie ocenić ich wartość i praktyczność przy nauce historyi. Otóż, aby podręcznik do historyi był rzeczywiście użyteczny, powinien przedewszystkiem z jednej strony nie gubić się zbyteczne w szczegółach i nie spadać w ten sposób całym ciężarem na siłę pamięci młodego, uczącego się pokolenia, z drugiej przez zbytnie skracanie i uogólnianie faktów nie powinien wykierować się na bezbarwną i jałową gadaninę. Zasada ta, uznawana powszechnie w teoryi, rzadko bardzo bywa przestrzeganą w praktyce. Każdy powtarza to zadanie, że historyja do młodego umysłu najłatwiej trafi, przy wyrazistej obrazowości na której spocznie już nie sama tylko pamięć, lecz i uwaga ucznia, a tymczasem napróżno szukaliśmy czegoś podobnego w księgach, których zadaniem jest właśnie podać barwny i treściwy zarazem obraz dziejów czy to powszechnych czy też ojczystych. Przesławiony Zdanowicz, autor kilku podręczników historycznych, jeszcze dzisiaj tak poszukiwany, wszędzie grzeszy pod względem trzymania się granic właściwych tak dalece, iż prawdziwie trudno zrozumieć, co jego pracom zjednywa taką wziętość. Ogólną bowiem ich cechą jest to, że nigdzie niepodobna znaleść tego, co stanowi treść historyczną. Z jednej strony skruputalne wyliczanie dynastyj panujących i królów, nadaje im raczej postać list tabelarnych i chronologicznych; z drugiej pomijanie wszelkiej treści dziejowej a co najwięcej zbyteczne uogólnianie faktów pierwszorzędnej doniosłości, czyni je nagim szkieletem, który swoją bezbarwnością raczej odstraszyć powinien dzieciaka aniżeli go zachęcić do poznania dziejów. Weźmy w ręce jego naprzykład „Krotki zarys historyi powszechnej" w jednym tomiku z tablicami Jaźwińskiego. Cóż tam znajdziemy takiego, coby przemówiło żywem słowem i obrazem do ucznia jakiegokolwiek wieku i uzdolnienia!..... Na próżnobyśmy szukali tam jakichkolwiek zalet, nie mówię naukowych, ale pedagogicznych.

Nie lepsze są i inne obszerniejsze jego prace, z których jedna w dwóch tomach, obejmuje całokształt dziejów powszechnych: „Historyja powszechna dla użytku młodzieży," 1861; druga „Rys chronologiczno-historyczny państw nowożytnych" zawiera dzieje średniowieczne i nowożytne. Autor ani w jednej ani w drugiej, ani na włos nie odstąpił od sposobu, przyjętego w „Krótkim zarysie," a jeżeli objętość rozszerzył to nie dlatego, aby ją zapełnić treścią dziejową, wlać w nią nieco ducha ożywczego, uwydatnić główniejsze fakty historyczne. Bynajmniej. Zdanowicz pracy tej sobie nie zadaje wcale, a jeżeli się godzi z dzieł jego wnioskować, to musimy powiedzieć, że w szczegółach wybierać nie umiał i różnicy pomiędzy niemi nie czuł zupełnie. Od początku do końca we wszystkich swych pracach ślizga się na ślepo po powierzchni, chwytając w przelocie imiona królów i dynastyj, notując niektóre wydarzenia i nazwiska wojen; oto i wszystko. Żadnego organicznego połączenia i ugrupowania zdarzeń, żadnego oświetlenia w nich nie ma.

Pamięci ucznia nie przyjdzie tu w pomoc nic zgoła; nie zajmie, nie zwróci jego uwagi na siebie żaden szczegół. Nagi szkielet, rusztowanie, nic więcej. Powie kto może że wypełnienie tego rusztowania treścią należy już do nauczyciela, że książka powinna być raczej drogowskazem niż obrazem historyi. Niech i tak będzie. Lecz nie zapominajmy, że ta sama historyja jest nauką, polegającą nie tylko na rozumieniu, lecz i na zapamiętaniu szczegółów; że uczeń może z całem wytężeniem uwagi słuchać wykładu nauczyciela, a po upływie kilku godzin nie być zdolnym, przy znacznej nawet pamięci, do powtórzenia w głównych rysach tego, co słyszał. Poplączą mu się fakty, powstanie zamęt, z którego bez książki nie wybrnie. Nauka historyi nie jest nauką arytmetyki i gramatyki, gdzie dwa lub trzy nazwiska albo terminy mogą wystarczyć na całą lekcyją, a wysnute z przykładów reguły, jeżeli tylko zostaną zrozumiane, nie potrzebują prawie żadnego udziału pamięci. W historyi rzecz ma się inaczej; przy najumiejętniejszym wykładzie uczeń nie może obyć się bez podręcznika, który pomoże mu uporządkować materyjał dziejowy, zebrany przy słuchaniu, i odświeżyć w pamięci cały ustęp dziejów wyłożonych.

Takie jest a raczej powinno być zadanie podręcznika historycznego. Umiejętnie wybrany i z pewnym planem uporządkowany materyjał, ożywiony pewną myślą przewodnią stosownie do wymagania nauki, oto właściwa

treść dla prawdziwie użytecznego podręcznika. Tymczasem gdzież tego wszystkiego szukać w pracach Zdanowicza? W nich są tylko królowie, przesuwający się szeregami przed wyobraźnią i okiem czytelnika, bez wyrazistego oblicza, podobni do siebie zupełną bezbarwnością, jednakowo ważni i „godni pamięci“ bez względu na to, czy to będzie Ludwik XIV, Fryderyk Rudobrody, czy też Henryk I (król francuski) lub cesarz rzymski Emilijan, który „zasiadł na tronie tylko na cztery miesiące,“ lub wreszcie Ewilmerodach następca Nabuchodonozora.

Prawdziwie czytając podręczniki, Zdanowicza mimowolnie trzeba powątpiewać o możności nauczenia z nich czego. A mimo to są one w użyciu. Rzadko kto, pobierając wychowanie w domu, nie mozoli się nad niemi. Miałożby to dowodzić, że dzisiaj jeszcze tak wiele znajduje się osób uczących historyi i nie rozumiejących jej zadania!...

Kiedy tak mało zadowolił nas Zdanowicz, zobaczmy, azali kto inny nie był od niego szczęśliwszy?

Klementyna z Tańskich Hofmanowa ułożyła także „Historyją powszechną dla płci żeńskiej“ aż w trzech tomach, przeznaczoną raczej do czytania niż do nauki; nie można tedy jej dzieła podciągnąć właściwie pod kategoryją podręczników. Zasłużona skądinąd autorka „Karoliny“ i „Krystyny“ zabrała się do rzeczy nie swoich. Moglibyśmy jej pracy poświęcić nieco więcej czasu, gdyby zapatrywanie się autorki na przedmiot historyi nie przemawiało na zupełną niekorzyść jej książki. We wstępie tłómaczy już H., że rozumieć historyją jest niepodobieństwem; „lecz każdej osobie, starannie wychowanej, wypada i potrzeba znać ją *dostatecznie*. Bez tej znajomości nie można by zrozumieć żadnej wyższej rozmowy, żadnej prawie książki, żadnego dzieła sztuki i wiele nauk moralnych, wzorów pięknych i użytecznych, byłoby dla nas zupełnie straconych.“ To wystarcza do osądzenia, czy z pracy jej może istotnie co skorzystać nawet płeć piękna, gdyby przypadkiem roztworzywszy spore dzieło, pragnęła się czegoś dowiedzieć, chociażby dla zabicia nudów. Wątpimy. Sam bowiem wykład, ułożony w formie pytań i odpowiedzi jest już niefortunny, a cóż dopiero najniewłaściwsza metoda niby to synchronistyczna, polegająca na tem, że całość została pocięta jakby nożycami na stulecia. O umiejętnym wyborze faktów mowy nawet być nie może, a najgrubsze błędy i wskazywanie romansów p. Genlis, Walterskota, oraz tragedyj francuskich, jako źródeł, z których dokładniejsze o pojedyńczych momentach dziejowych można powziąć wyobrażenie, dopełniać mają wiedzy historycznej „płci pięknej.“

P. Skrzypiński ułożył „Krótki rys historyi powszechnej dla początkującej młodzieży,“ podług Smaragdowa. Dziełko to doczekało się aż sześciu wydań, zapewne dla tego, że poleconem było dawniej i używane po szkołach rządowych. Treściwe, to prawda, ale suche to także prawda; główną tego przyczynę znajdujemy w tem, że autor, idąc za Smaragdowem, trzymał się wyłącznie gruntu politycznego, a zamykając całość w 348 stroniczkach, postanowił nie pominąć żadnych „pamiętnych w świecie wydarzeń.“ Zresztą, ze względu na sposób traktowania przedmiotu, dziełko to jest przestarzałe i dzisiejszym wymaganiom nauki nie odpowiada wcale.

Pozostaje Rogalski, którego praca „Obraz historyi powszechnej,“ aż na 5 tomów rozdzielona, ma to do siebie, że pragnąc dzieje traktować z wyższego, filozoficznego stanowiska, nie wie sama, czego szukać w powodzi wydarzeń dziejowych. Jako zaś książka podręczna rozmiarami swemi przerasta objętość książki przeznaczonej do użytku młodzieży.

Ten sam autor przed sześciu czy siedmiu laty „przysłużył się“ literaturze naszej przekładem „Historyi powszechnej“ Duruya. O ile ta przysługa była potrzebną i pożyteczną, niech ocenią ci, którzy dla jakichkolwiek powodów musieli się z tą książką zapoznać. Co do nas, powiemy tylko, że nie umiemy powiedzieć, dla kogo ją tłómacz przeznaczył. Jak na podręcznik dla ucznia, już nawet nieco z dziejami obznajmionego za obszerna, dla miłośnika historyi i dla nauczyciela, bez wartości naukowej. Za wiele w niej szczegółów i to takich, które dzisiaj mniej ważą w nauce niż wiadomości, odnoszące się do życia wewnętrznego, obyczajów, oświaty i t. d. Jest to raczej drobiazgowy opis kampanij i ruchów strategicznych, wykonanych przez Napoleona I lub innych zdolnych wojowników, aniżeli całokształt dziejów ludzkości.

Imię Duruya niech posłuży za wstęp do uwag o tych podręcznikach, które pierwotnie napisano we Francyi lub w Niemczech, a następnie przetłómaczono na język polski. Podręczników takich znaczna jest liczba; wszakże tylko o niektórych zamierzamy kilka uwag powiedzieć.

Przedewszystkiem warto się zastanowić, czy tłómaczenie prac tego rodzaju, może przynieść takie korzyści, jakich się spodziewają tłómacze, zabierając się do spolszczania lub przerabiania oryginałów. Nie chcemy w tej mierze orzekać stanowczo; sądzimy atoli, iż przystępując do pracy, należy zadać sobie sprawę, o ile przyswajanie obcego podręcznika odpowie naszym potrzebom?

Dziś w języku polskim podręczniki mogą być przydatne tylko w edukacyi prywatnej, która innym odbywa się trybem, aniżeli w szkołach publicznych. Tymczasem podręczniki, jakie posiadamy w tłómaczeniu, prędzej przydaćby się mogły uczniom szkół, i jako takie mogą mieć swoje dobre strony. Ale użycie ich przy nauce prywatnej przedstawia znaczne niedogodności. Najprzód, uwzględniając indywidualne potrzeby swojego narodu, Niemcy przy układzie historyi powszechnej, szczególniejszy nacisk kładą na dzieje ojczyste. W tłómaczeniach polskich staje się to niewłaściwem, a chociaż dział Słowiańszczyzny zwykle bywa w podobnych razach rozszerzany, to jednak pomiędzy dziejami Niemiec i innych krajów Europy zachodniej tem większa uderza nieproporcyjonalność. Tą niedogodnością grzeszą przed innemi podręczniki Webera i Weltera.

Dzieło Weltera, posiadające skądinąd niezaprzeczone zalety wygąda tak, jak gdyby zadaniem jego było wyłożyć dzieje Niemiec w związku z dziejami powszechnemi. Skutkiem tego, jakkolwiek co do rozmiarów dosyć obszerne, pomija ono milczeniem wiele faktów pierwszorzędnej wagi, odnoszących się do historyi ościennych narodów, albo, co najczęściej się zdarza, poprzestaje na pobieżnej wzmiance. Z tem wszystkiem nie jest to książka, którejby nie można było zużytkować. Welter celuje nad innemi tem właśnie, że umie rzucić charakterystyczne światło na jakąś epokę, fakt lub osobistość. Książka jego barwna, żywa, napisana lekkim stylem może zainteresować i pociągnąć. Jest wszakże w „Historyi powszechnej“ Weltera kilka stron ujemnych. Najgłówniejszą, zdaniem naszem, jest to, że autor nie zawsze umie szczęśliwie wybrnąć z mnóstwa tłoczących się szczegółów podrzędnych, dla których poświęca główny wątek dziejowy, a przynajmniej zaciera go bardzo. Zyskując na barwności, dziełko Weltera straciło na przejrzystości i treściwości tem bardziej, że autor metodę synchronistyczną posunął trochę za daleko bez widocznej potrzeby. Zgadzamy się zupełnie na to, że metoda ta ma pierwszeństwo przed etnograficzną, że przy wykładzie dziejów średniowiecznych i nowożytnych pierwszej trzymać się stanowczo niepodobna. Nie idzie wszakże za tem, aby co chwila przebiegać z jednej części Europy do drugiej. Przy takiem ustawicznem przerzucaniu się, trudno jest niezmiernie uczniowi posklejać rozerwane strzępy w jedną organiczną całość. Ten sam zarzut musimy uczynić i „Historyi powszechnej“ Webera, ale nie możemy, niestety, przyznać jej zalet tych samych. Welter, jeżeli nie jako treściwy podręcznik, tedy przynajmniej jako interesująca lektura zawsze może być przydatny dla młodego pokolenia, zwłaszcza jeżeli ono już się oswoiło z przedmiotem. Weber w wykładzie jest suchy i nużący; chciał on widocznie w ciasnych ramkach zawrzeć całą treść dziejów powszechnych; nie uogólniał tedy i nie pomijał niczego, lecz streszczał na sposób spartański. Zwięzłość wyszła na szkodę książki, bo uczyniła ją dostępną tylko dla tego, kto już w zupełności zawładnął przedmiotem i potrzebuje zajrzeć do podręcznika dla przypomnienia sobie szczegółów. Niepodobna przeznaczyć dzieła Webera do użytku nauki nie zrażając ucznia do przedmiotu, nad którym musiałby pracować tylko pamięcią. Tyle tam faktów, dat, nazwisk! Tak samo prawie jak Weber traktuje naukę dziejów Wilhelm Pütz, którego mamy w polskim przekładzie aż dwa podręczniki. Jeden w tłómaczeniu Dr. Jerzykowskiego pod tytułem „Historyja Powszechna“ w trzech tomikach, zawierających razem około 450 stronic, jest skróceniem drugiego, którego spolszczeniem przysłużył się L. Tatomir p. n. „Rys geografii i historyi powszechnej dla klas wyższych.“ W obu pracach Pütz za wiele nagromadził szczegółów w stosunku do rozmiarów. Dzieje starożytne treścią mniej bogate, lepiej się przedstawiają niż średniowieczne; ale co historyja nowożytna, to przy treściwości swojej, staje się nawet niezrozumiałą. Wybierając jedno z dwojga, uważamy, że „Historyja Powszechna“ jest praktyczniejsza, aniżeli „Rys.“ W najgorszym razie ma dziełko Pütza tę zale-

tę, że może być przydatne uczniowi dla uporządkowania materyjału i wybrania faktów ważniejszych. (d. n.)

ŚLADY ŻYCIA.

XLVI.

Tyle życia ile w czynie.

Współpracownik naszego pisma artysta malarz p. Henryk Filipowicz, b. retuszer zakładu fotograficznego p. Mieczkowskiego, w sierpniu r. b. powołanym został do Odessy na zarządzającego jedną z najpierwszych tam pracowni fotograficznych. Obecnie jak się z dobrego dowiadujemy źródła, p. Filipowicz zaproszony osobiście przez księcia Milana serbskiego, udaje się niebawem do Belgradu, i jako malarz nadworny zajmie się tem przedewszystkiem portretowaniem książęcej pary. Ciesząc się z uznania jakie p. Filipowicza spotkało, życzymy mu serdecznie powodzenia, i zwycięzkiego pokonania trudności, jakie napotka przy przenoszeniu na płótno rysów... najpiękniejszej w Europie kobiety, bo za taką uchodzi młodziutka księżna Natalija.

* * *

Od nowego przyszłego roku „Wędrowiec“ pismo pożyteczne i bardzo staranną zawsze odznaczające się redakcyją, dotychczasowy swój dodatek poświęcony podróżom, zamienia na płatny oddzielnie dodatek... z modami i tablicami krojów. Że pod względem *świeżości wzorów i bogactwa treści* nowy ten dodatek, nie będzie ustępował żadnemu z istniejących pism modnych, wierzymy w to tak dobrze jak wierzymy i w to, że na ponętny ten wabik zarzucony ku pięknym czytelniczkom, złapie się ich nie mało. Bieda, naszem zdaniem, leży tylko w tem, że za bardzo znamy się na modach a na geografii za mało, i że jak nam właśnie opowiadał nie dawno jeden z nauczycieli zasługujący na najzupełniejszą wiarę, ubranie *z szykiem* godnym najświeższego paryskiego żurnalu, nie przeszkadza przy pretensyi notabene do wyższego ukształcenia, utrzymywać naprzykład że Poznań leży nad Elbą...

* * *

Smutne owe czasy w których syn zamożnych rodziców a zwłaszcza też na wsi osiadłych, uważał pracę za hańbę niegodną potomka szlacheckiego rodu, a jeżeli się jej chwytał, czynił to z musu i w ostatecznym tylko razie, mijają da Bóg bezpowrotnie.

Znany nam oto osobiście młody „*éléganckо*“ wychowany człowiek, mający w perspektywie około 20,000 rubli majątku, prosi nas o poradę w jakim najwłaściwiej należałoby mu kształcić się rzemiośle, aby w danym razie byt sobie niezależny zapewnić. „Muszę, są słowa listu, muszę mieć fach jakiś w ręku, a zdobyć go pragnę nie wtedy gdyby mnie do tego zmuszała żelazna konieczność, ale teraz gdy mam jak najmniejszą nadzieję że przyjdzie kiedyś jeść chleb z tego pieca. Z dużego majątku moich rodziców, skoro się z czasem na pięć głów podzielić przyjdzie, dostanę najwyżej około 20,000 rs., bardzo to wiele jako podstawa do przyszłego dorobku, ale *nic* a przynajmniej za bardzo mało na to, iżby mieć tytuł do przepróżnowania całego życia. To wreszcie co przychodzi łatwo, stracić także nie bardzo trudno, a lubo nie myślę iżbym grosz otrzymany, roztrwonił bezmyślnie, nie chcę się uczynić zależnym od wypadków nieprzewidzianych. Znam takich w porównaniu z któremi moja przyszła chudoba jest nic nie znaczącym drobiazgiem, a którzy przecież w sile wieku z musu poszli na pieczeniarkę. Z musu powiadam, gdyż do niczego zupełnie nie są zdolni, a ja od takiej otóż ewentualności chcę być zabezpieczonym.“

Odpowiadając na wezwanie listem oddzielnym, zamieszczamy tu sam fakt, jako przykład godny naśladowania, i najszczerszego uznania.

* * *

W zeszłym numerze „Opiekuna“ zaznaczyliśmy prawdziwą radość naszę z powodu że niezmiernie ważna kwestyja bliższego zapoznania się z krajem, przez nas pierwszych w r. jeszcze 1873 podniesiona, znalazła echo w prasie naszej, chociaż po dwu latach dopiero. Z przyjemnością bynajmniej też nie udaną, spotykamy się dziś znowu z artykułem „Szkoły rolnicze“ pomieszczonym w Nrze 46 „Gazety Rolniczej,“ oraz z artykułem wykazującym potrzebę zakładania *żłobków i ochron wiejskich*, wydrukowanym w 253 numerze „Kuryjera Codziennego.“

Potrzebę zakładania szkół rolniczych podnosiliśmy w „Opiekunie“ w r. 1873 i w tym samym także roku w dwu bodaj artykułach zatytułowanych: „Dzieci włościańskie“ my pierwsi mówiliśmy o konieczności żłobków i ochron wiejskich, wskazując w dodatku w jakiby je sposób najwłaściwiej, podług nas, uorganizować wypadało i gdzie szukać na utrzymanie ich funduszów.

Daj Boże, powtarzamy, aby i te nowe dwa echa spóźnione, minął los do naszego podobny. Ale toć jednej jeszcze myśli przez nas pierwszych i także w r. 1873 podjętej, silniej się odezwać w tym dopiero bieżącym roku pańskim było także sądzono. „Tygodnik Rolniczy“ poddał niedawno dyskusyi publicznej projekt „*Banku rolniczego* wypracowany przez p. hr. Grabowskiego. Potrzebę takiego banku i projekt w jakiby go sposób urzeczywistnić należało, ba, samą nawet ustawę takiej instytucyi, zamieściliśmy w kilku artykułach zatytułowanych *Bank związkowy rolniczy*, prosząc wszystkich w ogóle a najbliżej interesowanych w szczególności, iżby zajęli się tą rzeczą, iżby nam stosowne nadsyłali uwagi. Ani jedno pismo nie zwróciło uwagi na to a jednak banku rolniczego, tak samo jak dziś gwałtownie była potrzeba. Sądzimy że nieźleby było, gdyby pisma nasze rolnicze odgrzebać zechciały ten nasz stary projekt i bliżej się dzisiaj w nim rozpatrzeć? Nie zaszkodziłoby to w żadnym wypadku.....

* * *

Dwa kalendarze prowincyjonalne domagają się od nas wzmianki. Noworocznik Kaliski i Kalendarz Płocki. Nie mogąc wdawać się w szczegółowy więcej rozbiór tych wydawnictw, notujemy tu jednakże z przyjemnością, że redakcyja obu roczników jest bardzo staranną, a kalendarz Płocki tem się jeszcze pomiędzy prowincyjonalnemi kolegami swemi odznacza, iż ma dział statystyczny gubernii, daleko staranniej opracowany, i względnie obszerny nawet bo obejmujący do 30 stronic ścisłego druku.

* * *

W śladach życia nieraz niestety i ślady śmierci notować nam przychodzi. „Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza“ pismo za fundusz kilkunastu ludzi dobrej woli założone, redagowane bardzo starannie i sumiennie przez p. Aleksandra Makowieckiego, z taką zawsze serdeczną gotowością krzątającego się o podniesienie umysłowego poziomu rzemieślników naszych, ma jak z dobrego o tem słyszeliśmy źródła, przestać wychodzić od 1 stycznia 1876 r. Do podobnego postanowienia skłoniły założycieli ciągłe braki w funduszach wydawnictwa; bardzo słabo popieranego przez tych dla których przeznaczonem ono było. Najgłówniejszą atoli przyczyną małego rozchodzenia się pisma był program nadzwyczaj ograniczony albo raczej zespecyjalizowany zanadto. Treść choćby najpożyteczniejsza zresztą, nie była w stanie żywiej interesować umysłów, odpowiednio ku temu nie przygotowanych. Co prawda ewentualność tę smutną trzeba było dawno przewidzieć, wiedząc z doświadczenia co się stało z „Ekonomistą“ dla wykształceńszych przecie klass przeznaczonym—co zresztą dzieje się z tak zwanemi u nas pismami poważnemi... Boże mój miły, a toż gdyby z innych tygodników na szych przerozmaitej nazwy, powieść i w ogóle strawę lżejszą usunąć, kto wie czy i jak długo utrzymać by się zdołały.

* * *

Mzurów, w listopadzie, 1875.

Okolica moja górzysta, z przepaściami i dolinami, najeżona ogromnemi skały, pokryta borem, ze starożytnemi w bliskości ruinami dawnych zamków, wspaniały przedstawia widok. Jakkolwiek jednak dla artystów malarzy i poetów, właściwem jest miejscem do studyjów i szkiców, jakkolwiek nacieszyć się nią, kiedy mnie łaskawie nawiedzić raczą niemogą, biegając tu latem po rozpadlinach, skałach i grotach, dla nas jednakże tutejszych w burzliwych czasach w letnich miesiącach, a w zimie w czasie zasp i zadymek, z powodu najgorszych dróg, których często przebyć nie można i nieraz pomimo najgwałtowniejszego interesu, siedzieć w domu jest się zmuszonym, niebardzo jest dogodną. Jedynie też przywiązanie do owych skał, grot i przepaści, które się tyle lat deptało swemi nogami, bez których widoku obejść się nam nie można i bez których zatęskniłoby się dobrze, osładza nam niedogodności komunikacyjne.

Wózek węgierski lub jaka taradajka, tak dla dam jak mężczyzn, jest najpraktyczniejszą lokomotywą do przenoszenia się z miejsca na miejsce; pomimo tego jednak, nieraz poczciwy małżonek z pomocą fornala, idzie przy bryce piechotą, aby kochana jejmość z dzieciakami, nie zrobiła na niegodziwej drodze jakiego *salto mortale*, nie nabawiła się szwanku, albo nie naraziła na rozlecenie w różne strony swych składowych części, to jest loka, ko-

ka, turniury, kapelusika do zakrycia czubka głowy i t. p.

Dla tego, przed paru tygodniami, kiedy po wielkich deszczach drogi jak nigdy popsute zostały, z prawdziwem zdziwieniem wracając z miasteczka, spostrzegłem elegancką jaśnie oświeconą dwomala tarniami karetę, chlupiącą po błocie, a na niespodziewany ten widok zawołałem:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

Siedzący w niej państwo, to jest siedząca *solo* pani, a idący przy niej w lakierowanych kamaszkach dwóch panów, zdaje się mąż i kuzynek, oraz w grubych butach furman, pomagali jak mogli, pchając landarę, nieszczęśliwym dobywającym ostatnie siły szkapom. Cała wyprawa udawała się na obejrzenie nowo nabytego majątku, kupionego pomimo agronomicznego przykazania: *nie pożądaj bez kapitału dóbr ziemskich*; w których to dobrach, nic nie zasiano a z tego powodu bardzo naturalnie niebyło w stodołach, a po za stodołami, ani wołu ani osła, ani kury ani indyki, ani sługi ani służebnicy, ani żadnej rzeczy, oprócz głodnego psa i kota, którzy z rzeczonych dóbr już także rejterować postanowili.

Wiadomo to jest wszystkim że prowincyja lepszą ma policyją jak Londyn i Wiedeń, a wszystkie babki, ciotki i wujenki, a od nich sąsiedzi, wiedzą jak kto siedzi. Będąc z natury pobożnym, zmówiłem nad ową karetą: „Od nagłej i niespodziewanej śmierci, wybaw ją Panie!“ a ponieważ to była oktawa dnia zadusznego, dałem nie wymawiając na wypominki, aby nad nią pobożni, zmówili:

„Wieczny odpoczynek!“

We wszelkich postanowieniach, mówiąc bez sekretu,
Uczymy się od liter i od alfabetu;
Poeci, literaci, kupcy, agronomy,
Zanim zaczną spoglądać w kieszeń albo w tomy,
Muszą gwałtem z początku trochę popracować,
I pomału, z rozwagą posylabizować.
Alfa, dla agronoma, inwentarz roboczy,
Ona koło największe, najważniejsze toczy;
Beta to są cielęta, owieczki i krowy,
Co dają pokarm ludziom i grosik gotowy;
Gamma, są znowu wozy, pługi, radła, brony,
Któremi się przewraca raz po raz zagony;
Delta, to są prosięta, gęsi, kaczki, kury,
Za które sprawia pani koki i turniury,
Bo są to przez nią tylko czerpane dochody,
Bez których na prowincyi nie byłoby mody;
Epsylon i tam dalej, *zeta*, *jota*, *kapa*,
To wybryki na dymy lub cugowa szkapa.
Et cetera, tak idąc aż do *omikrona*,
Gdy się dotąd nauczy małżonek lub żona,
Mogą sobie odpocząć, gdy każdy zmęczony,
Przypiąć Kubie i Grzeli do czapek galony,
A jak rolnik do końca nauki dobiega,
I pozna na ostatku, że to jest *omega*,
Może sobie na końcu zjeść przysmak na wety,
I chociaż na złej drodze, wsiadać do karety,
Jeżeli *notabene*, swych następców tronu,
Więcej uczył A. B. C. jak modnego tonu,
Gdy ich uczył modlitwy i rady w potrzebie,
I przestania z pokorą na powszednim chlebie.

Faustyn Świderski.

FANTAZYJA D^ra^ OX

przez

Julijusza Verne.

(ciąg dalszy)

VII.

W którem andante przechodzi w allegro a allegro staje się vivace.

Zajście adwokata Schuta z doktorem Custos zatarło się jakoś przecie bez żadnych gorszących następstw, można więc było mieć nadzieję, że i mieszkańcy grodu Quiquendone powrócą do owej apatycznej drzemki, która im tak niedyskretnie przerwaną została.

Tymczasem zakładanie rur gazowych w główniejszych zabudowaniach miasta dokonywało się z gorączkowym pośpiechem.... Rury główne i podrzędne przerzynały też już w różnych kierunkach ulice miasta Quiquendone, ale brakowało beków, które dla swej delikatnej i złożonej konstrukcyi, musiały były być zamawiane za granicą. Doktor Ox pracował z pomocnikiem swoim Ygéne, nie tracąc ani chwili czasu, zachęcał robotników, wykończał najważniejsze części gazometru i podniecał dzień i noc olbrzymi stos elektryczny, rozkładający wodę swym potężnym strumieniem. Tak jest! Doktor przygotowywał już gaz, chociaż rozprowadzenie jego nie było jeszcze ukończonem, co znowu mówiąc między nami było bardzo jakoś dziwnem. Wkrótce miał też doktor w teatrze miejskim zaprowadzić nowy sposób oświetlenia.

Trzeba bo wiedzić że Quiquendone posiadało teatr wspaniały! Wspaniały! W budynku tym albowiem mieściły się wszystkie style. Był więc styl bizantyński, romański, gotycki, renesans z drzwiami o łukach i z oknami owalnemi, z rozetami kwiecistemi i fantastycznemi dzwonkami, jednem słowem wzór wszystkich rodzajów architektury; w jednej połowie Partenon w drugiej Grand Café Parisien, czemu nie ma się co dziwić, bo teatr rozpoczęty za burmistrza Ludwika van Tricasse w 1175 r. ukończony został w 1837 r. za burmistrzostwa pana Natalisa van Tricasse. Lat z górą 700 składało się na to zbudowanie a zawsześ naturalnie stosowano się do ducha czasu. Nie był to budynek brzydki, tylko że jego kolumny romańskie a sklepienia bizantyńskie nie bardzo kwadrowały do oświetlenia tleno-wodornego.

Grywano w teatrze co Bóg dał, ale najczęściej opery komiczne, których właśni kompozytorowie nigdy poznać nie mogli, gdy je ujrzeli na scenie. Ponieważ teatr otwierano o godzinie czwartej popołudniu a zamykano o dziesiątej wieczorem, przeto w ciągu tych sześciu godzin wystawiano dwa akta najwyżej. Opery Robert Dyjabeł, Hugonoci, Wilhelm Tel, zajmowały zwykle po trzy wieczory każda. Vivace w teatrze w Quiquendone szło jak adagio, allegro wlekło się strasznie wolno. Rulady najgwałtowniejsze, wykonywane według miejscowego gustu miały podobieństwo do uroczystego hymnu. Oto np. gwałtowna aryja Figara przy jego wejściu na scenę w pierwszym akcie Cyrulika Sewilskiego, trwała piędziesiąt ośm minut.

Rozumie się że aktorzy przybywający z innych miejsc, musieli stosować się do zwyczajów, a że płacono im dobrze nie żalili się i słuchali pałeczki dyrektora orkiestry, który w allegro nie wskazywał więcej nad 8 taktów na minutę.

Jakże wielkie też oklaski zbierali artyści, zachwycając a nie nużąc nigdy widzów łaskawych. Wszystkie dłonie uderzały jedna o drugą w pewnych dość znacznych ustępach czasu! Sprawozdania dziennikarskie nazywały te oklaski oklaskami frenetycznemi a że sala wstrząsana przez te objawy zadowolenia nie runęła, zawdzięczać to tylko temu należy, iż w wieku XII nie żałowano do fundamentów ani wapna ani kamienia.

Aby nie egzaltować za bardzo entuzyjastycznej natury Flamandów, przedstawienia odbywały się raz jeden na tydzień, co znów miało tę dobrą stronę, iż pozwalało aktorom dokładnie wystudyjować każdą rolę a spektatorom zastanawiać się nad pięknościami arcydzieł sztuki dramatycznej.

Taki tu był od niepamiętnych czasów porządek, do którego musieli się stosować artyści przyjezdni, jeżeli życzyli sobie aby ich nie odprawiono z kwitkiem. Zdawało się że nic nigdy nie przemieni tego obyczaju, aż tu w 15 dni po zajściu Schuta z Custosem, zaszedł nie przewiedziany i niezwykły wypadek.

Było to w sobotę w dzień przedstawienia opery. Nikomu przez myśl nieprzeszło, o inauguracyi nowego oświetlenia, bo chociaż otwory rur gazowych dochodziły do sali, z powodów o których wyżej była mowa beki nie były jeszcze umocowane. Dawniejszym tedy porządkiem świece miały pełnić swoję powinność. O godzinie pierwszej z południa otworzono wejście do teatru a o trzeciej sala w połowie się zapełniła. Na mieście od placu śgo Erunfa dążyły tłumy w stronę ku aptece Josse Lietrina, co wróżyło świetne niezwykle przedstawienie.

— Idziesz pan dziś na operę, zapytał?.. rano radny burmistrza.

— Nie zaniedbam tego uczynić, odrzekł van Tricasse, i udam się tam w towarzystwie żony mej pani van Tricasse, córki naszej panny Suzel, oraz także ukochanej naszej Tataneman-cyi, namiętnie lubiącej muzykę.

— Panna Suzel będzie także?.. zapytał radny.

— Tak panie Niklausse.

— W takim razie syn mój Franciszek Niklausse przyłączy się do jej towarzystwa.

— Gorący to młodzieniec, ten syn twój panie Niklausse, rzekł poważnie burmistrz. Chłopak pełen zapału—potrzeba czuwać nad nim starannie.

— On kocha panie Tricasse, kocha swoję piękną Suzel.

— To dobrze panie Niklausse, to się z nią ożeni. Od chwili w której zgodziliśmy się na ten związek, czegoż więcej od nas żądać może.

— Nic więcej panie Tricasse nie żąda, to kochane poczciwe dziecko! a nie chcę i niepotrzebuję upewniać pana, że nie on ostatni zawiera podobny związek.

— O dzielna o gorąca młodzieży! krzyknął burmistrz, uśmiechając się i myśląc o swojej przeszłości. Toż i z nami tak ongi było, szanowny panie radny! Kochaliśmy przecie także i dotrzymywaliśmy towarzystwa naszym damom! Ale wracając do dzisiejszego wieczoru, czy pan wiesz, że ten Fioravanti to wielki artysta! Jakże wspaniałe przyjęcie zgotowano mu w tych murach. Nie zapomni długo oklasków mieszkańców Quiquendone.

Ta apostrofa dotyczyła sławnego tenora Fioravanti, który talentem, doskonałą metodą i głosem sympatycznym wywoływał nie kłamany entuzyjazm.

Od trzech tygodni Fioravanti zachwycał

w „Hugonotach.“ Akt pierwszy odpowiednio do gustu mieszkańców Quiquendoncu zajął cały wieczór pierwszego tygodnia w miesiącu. Innego wieczoru w następnym tygodniu zachwyceni przeciągłem andante, zrobili śpiewakowi prawdziwą owacyją, zapał powiększył się przy trzecim akcie tego arcydzieła Meyerbeera. Teraz właśnie w czwartym akcie miał się dać znowu słyszeć Fioravanti. Oh! ten duet Raula i Walentyny, ten hymn miłości na dwa głosy szeroko rozwinięte, w którym powiększa się crescendo, wszystko to śpiewane powolnie, uważnie, przeciągle. Ah, jakie to czarujące!

Tak więc o czwartej godzinie sala napełniła się. Loże, orkiestra, parter były nabite widzami. Naprzeciw sceny zajął miejsce burmistrz van Tricasse, panna van Tricasse, pani van Tricasse i miła Tatanemancyja w zielonym czepeczku, nieco dalej radny Niklausse i jego familija, oraz zakochany syn jego Franciszek. Widziano tam także rodzinę doktora Custos i adwokata Schut, Honoryjusza Syntax, sędziego Sutman, Norberta dyrektora towarzystwa ubezpieczeń, grubego bankiera Colaerta, zagorzałego zwolennika muzyki niemieckiej a zarazem wirtuoza nielada, nauczyciela Rupp, komisarza cywilnego i pełno innych znakomitości miasta, których niepodobna wymienić aby nie narazić cierpliwości czytelnika.

Przed podniesieniem zasłony mieszkańcy Quiquendonc mieli zwyczaj sprawować się cicho, jedni czytali gazety, inni rozmawiali szeptając, inni znów spoglądali w milczeniu na piękności zdobiące galeryją.

Atoli baczny obserwator mógł spostrzedz, że podczas wieczoru o jakim mowa, nawet przed podniesieniem zasłony jakieś niezwykłe ożywienie panowało w sali. Widziano szastających się ludzi, którzy się prawie nigdy nie poruszali. Wachlarze kobiet działały z nienormalną szybkością. Powietrze jakieś żywsze zdawało się iż owładnęło wszystkich. Oddychano silniej. Niektóre oczy błyszczały, jeśli właściwe będzie porównanie, jak światła żyrandola który także zdawał się rzucać dziś na salę blask przedtem nie bywały. Rzeczywiście dziś jaśniej tu jak zwykle, chociaż oświetlenie nie było wcale powiększone. O gdyby nowy aparat doktora Oxa mógł funkcyjonować, ale jeszcze nie działał.

Nakoniec orkiestra zajęła miejsca i pierwszy skrzypek ukazał się między pulpitami; nastrojono instrumenta rżnięte i dęte, opatrzono bębny a dyrektor oczekuje spokojnie na dzwonek, bo wszystko w zupełnym porządku.

Dzwonek daje się słyszeć, wkrótce czwarty akt się rozpoczyna, odzywa się tedy allegro apassionato ze zwykłą powolną majestatycznością, któraby samego nawet Meyerbeera wzruszyła.

Nagle atoli dyrektor orkiestry nie czuje się być panem swoich podkomendnych i musi czynić gwałtowne usiłowania aby za trzymać zapędy, tych zwykle dotąd posłusznych i spokojnych pracowników swoich. Nawet instrumenta dęte okazują jakiś objaw gorączkowy, potrzeba je powstrzymywać, bo wyprzedzą instrumenta rżnięte, a to oczywiście z punktu zapatrywania się na harmonije spowodowałoby smutne następstwa. Ale cóż znowu u kaduka, fagocista syn aptekarza Josse Liefrinek, człowiek młody, dobrze wychowany, pośpiesza coś także jakoś.

Kurtyna się podniosła, występuje Walentyna i rozpoczyna swe recetativo:

Jam jest sama w domu......

ale także za prędko, a dyrektor i reszta orkiestry stosują się bezwiednie do jej śpiewu.

Co to wszystko może znaczyć?.—a toż od chwili gdy Raul ukazuje się przy drzwiach w głębi sceny do chwili w której Walentyna zaczyna iść naprzeciw niego, upływa dziś ledwie kwadrans czasu, kiedy dawniej potrzeba było na to okrągłe minut 37.

Saint Bris, Nevers, Cavannes i panowie katoliccy wchodzą na scenę trochę jakoś zagwałtownie. Allegro pomposo odznaczyło tu kompozytora w partycyi. Orkiestra i panowie chodzą bardzo allegro ale wcale nie pomposo a w zbiorowym chórze i w najważniejszej scenie spisku i poświęcenia sztyletów, wcale nie miarkują allegra. Śpiewacy i muzycy opanowani są jakimś szałem. Dyrektor orkiestry nie myśli ich już powstrzymywać, publiczność nie sarka na to, bo czuje iż także opanowaną jest jakiemś wzburzeniem i że słowa śpiewu odpowiadają zupełnie nastrojowi jej ducha.

To też oświadczają wszyscy że się na to zgadzają i przysięgają nawet na to. Zaledwie wśród wrzawy znajduje Nevers chwilę do protestacyi i do odśpiewania że, „nie miał przodków mordercami.“ Powstrzymują go tymczasem dozorcy i urzędnicy miejscy, nad biegając i zaprzysięgając uroczyście „wyrżnięcie wszystkich w pień.“ Trzech mnichów niosących koszyki z białemi kokardami, wypadają gwałtownie przez drzwi w głębi sceny z mieszkania Neversa, bez względu że dla efektu scenicznego, powinni byli postępować poważnie i powoli. Już spiskowcy dobyli sztyletów, już trzej mnisi święcą je, wzniosłszy ręce do góry; już soprany, tenory, basy, śpiewają przerażającym głosem allegro furioso i już wreście oddalają się wrzeszcząc:

O północy,
Bez hałasu,
Bóg tak chciał
Tak.
O północy...

a w tej chwili powstaje i publiczność cała. Zapał ogarnia najpierw loże, dalej parter i galeryje. Zdaje się, jakoby wszyscy obecni ze swoim burmistrzem panem van Tricasse na czele, zapragnęli połączyć się ze spiskowemi i zniszczyć hugonotów, z któremi wszakże łączą ich przekonania religijne. Klaskają, przywołują, krzyczą a Tatanemancyja ręką drżącą febrycznie szarpie swój czepiec zielony...

Raul zamiast podnieść powolnie draperyją, rozrywa ją ruchem gwałtownym i staje przed Walentyną.

Nakoniec daje się słyszeć wielki duet; traktowany allegro vivace. Raul nie czeka na zapytania Walentyny a Walentyna na odpowiedzi Raula. Przepyszny passaż:

Niebezpieczeństwo nagli,
Czas ucieka.....

wychodzi jakoby jedna z tych podniecających piosneczek, któremi wsławił się Ofenbach. Andante amoroso:

Tyś to powiedziała,
Tak ty kochasz mię!

zmienia się w vivace furioso awiolonczella orkiestry nie dba już wcale oto aby się stosowała do zmian głosu śpiewaka, jak to ma sobie wskazane w partycyi kompozytora. Napróżno Raul woła:

Mów jeszcze i przedłuż.
Serca mego czarowny sen!

Walentyna nie może mu zadość uczynić, czuje że ogień niezwykły pożera całą jego istotę a raczej że jego *si* i *ut* wyżej podniesione jak potrzeba robią fatalny efekt. Rzuca się i gestekuluje, żar go jakiś pochłania.

W tem daje się słyszeć dzwonienie, ale dzwon wydaje odgłos dziwny, przerywany. Więc i dzwonnik stracił przytomność. Toć to dzwonienie na gwałt, współzawodnictwo z szaloną grą orkiestry.

Aryja w dodatku kończąca ten akt wspaniały:

Im więcej miłości upojenia,
Tym więcej udręczeń...

aryja którą kompozytor zaznaczył jako allegro con moto przechodzi do prestissimo. Pospieszny pociąg tędy przechodzi czy co?.. Gwałtowne dzwonienie znów się rozpoczyna. Walentyna pada zemdlona. Raul rzuca się przez okno.

Była chwila w której upojona szałem orkiestra, powstrzymywać się nie była w stanie. Pałeczka też dyrektora potłuczona w kawałki leży na pulpicie suflera! Struny skrzypiec popękane, podstawki połamane! Cymbalista nawet potłukł swe cymbałki! Kontrabasista siadł na swym instrumencie! Pierwszy klarnecista połknął mundsztuk od klarnetu; obosista żuje w zębach klapkę trzcinową od oboju! Zasuwka w trombonie popsuta a nieszczęśliwy trębacz nie może wydobyć ręki, którą zanadto wsunął w czeluści swego muzycznego przyrządu.

A publika! publika zadyszana, zasapana, gestykuluje i wrzeszczy! Wszystkie oblicza rozrumienione jak gdyby palił je gwałtowny pożar wewnętrzny. Tłoczą się do wyjścia! mężczyzni bez kapeluszy, kobiety bez salop; gniotą się w korytarzach, popychają we drzwiach, kłócą się, biją. Nie ma tu żadnej władzy, nie ma żadnego burmistrza! Wszyscy są równi, w powszechnem piekielnem zamieszaniu.

W kilka chwil dopiero później, ochłonąwszy na ulicy, wracają do zwykłego spokoju i idą zwolna do domów z niewyraźnem wspomnieniem tego co zaszło.

Czwarty akt „Hugonotów,“ który dawniej trwał sześć godzin, rozpoczęty dzisiaj o wpół do piątej, skończył się w osiemnaście minut!!!

O MODACH.

W dalszym ciągu sprawozdania naszego tyczącego się toalety męskiej, zamieszczamy ważniejsze zmiany jakim uległy niektóre suknie, oraz jakie w tym sezonie ustaliły sobie panowanie.

Zmiany w sukniach wizytowych, widzimy tylko w przydłużonych cokolwiek talijach i połach, klapach niżej wykładających się, kołnierzach szerszych i okrągło rozkładających się na ramionach. Pantalijony średniej szero-

kości, przy nodze szersze i kamaszowate. Kamizelki na dwa rzędy guzików nisko gorsu zapinane.

Suknię wizytową, tam gdzie jest zbyteczne użycie fraka, nazywamy tużurkiem lub żakietą jednorzędną czarnego koloru; przyczem winna być kamizelka tego samego koloru co tużurek i żakieta, do czego służą z ciemnego kortu pantalijony, w deseń jak można najskromniejszy. Dla osób poważnych, suknią wizytową po fraku, jest najstosowniejszy czarny tużurek na dwa rzędy guzików zapinający się z wykładem do czwartej dziurki od pasa. Suknia taka, pospolicie nazywana bywa przez Francuzów suknią deputowanych (*l'habit à la deputé*).

Na nadchodzący karnawał, fraki będą noszone krojem więcej obcisłym: *szossy* krótsze od dotychczasowo noszonych, *rabaty* wąskie, przy dosyć okazałem wyłożeniu przodów; guziki małego wypukłego formatu, rękawy przy ręku dosyć szerokie z mankietami odciętymi i na guziczki zapinającymi się.

Forma bielizny do ubrania wizytowego i balowego pozostaje ta sama, t. j. gorsy gładkie na maleńkie z perłowej białej massy spięte guziczki, kołnierze stojące cokolwiek w tył ścięte, mankiety dołem przy ręku szerokie, na okazałe guziki złote lub białe perłowe zapinające się.

Do ślubu tylko dla pana młodego, używa się gorsów haftowanych lub ażurowych z wodami i t. p. nazwami.

Kiedy o ślubie mówimy, nie od rzeczy będzie wspomnieć, że do dystyngowańszej tualety dla pana młodego należy mieć frak z sukna *bleu noir*, zupełnie otwarty, kamizelkę bardzo nisko gorsowaną, z piki białej bawełnianej, a nie jedwabnej jak to niektórzy czynią; kołnierzyk u bielizny stojący stosownie do mody ścięty, który ściśnięty być winien wąziutkim krawacikiem batystowym gładkim śnieżnej białości. Guziczków do gorsu nie używa się żadnych błyszczących, chyba że już kto pragnie mieć coś bogatego na sobie w czasie tego aktu, to w takim razie prawdziwe maleńkie brylantowe nieznacznie w złoto lub srebro oprawione.

Nowością jaka się pokazała na bruku warszawskim są palta zimowe krojem *a la Zubowicz*. O tych to wspominaliśmy w poprzednim naszym artykule. Dziś dla tego jeszcze powracamy do tego przedmiotu, że wchodzi w powszechne u nas użycie. Suknia ta jest nader praktyczną do naszego klimatu; przez swoję długość, chroni nogi od ziębnięcia, przez szerokość, służy jako okrycie w miejsce płaszcza w podróży. Stosownie do zmiany powietrza może być noszoną, i tak: jeżeli trochę chłodne dni nosi się zarzuconą na ramionach, jak mroźne powietrze na rękawach i ściąga się ją pasem aby lepiej okrywała ciało. Krój głównie na tem zależy aby w plecach był tak zwany kontrafałd, składający się od samego kołnierza. Fałd ten nadaje dobrą formę sukni, i dowoli rozporządza szerokością lub zacieśnieniem onej; przody winny być szerokie, na dwa rzędy ozdobnych guzików zapinające się; kieszenie na piersiach podłużnie zrobione, służące do ukrycia rąk od zimna, poniżej zaś bioder takie same, na umieszczenie potrzebnych przedmiotów w podróży. Kołnierz szeroki okrągło na ramiona spadający. W talii, przechodzi na ośm centimentów szeroki pasek, z tego samego co palto materyjału na przodzie zapięty na dwa guziki; robią się także w miejsce pasów i patki ściągające szerokość pleców. Od kroju i roboty takiej sukni żeby była zgrabną wiele zależy, np. w zagranicznych tu sprowadzanych widzimy ogromną tandetę, tak co do kroju jako i odrobienia, są bez kontrafałdów w tyle, i na jeden rzęd zapinane z przodu; przez co wyglądają jak szabasowe szlafroki; wąskie przody, pasy szerokości krajki, materyjał także nędzny na wpół z bawełną wyrobiony. Dla taniości wiele osób takowe kupuje, z czego wypłynęła nie bardzo korzystna reputacyja dla tyle praktycznych sukien, albowiem przez ubranie się bardzo wielu osób w tak niezgrabnie skrojone i odrobione przez więźniów niemieckich hałaty, a tu naprowadzonych przez tandeciarzy wiedeńskich, powstrzymują rozpowszechnienie się praktycznej sukni. Palta wyżej opisane, wyrabiane z dobrych krajowych materyjałów, podszyte ciepłą flanelową podszewką kosztują od rs. 30 do 45, w magazynach renomowanych krawców warszawskich.

Futer obecnie w mieście mało używają; wybornie takowe zastępują paleta z grubych materyjałów na ciepłych podszewkach. Forma takowych w tem uległa zmianie że są dłuższe jak zeszłej noszono zimy; długością sięgać powinny po za kolana przynajmniej o cali ośm. Kołnierze bobrowe lub barankowe używają się przy takowych. Kołnierze z syberyjskich bobrów nie są dziś tak drogie jak były kiedyś; cena średniej dobroci kołnierza dochodzi 40 rs., i jest nie przepłaconą zważywszy na trwałość i piękność futra. Jakkolwiek bobry amerykańskie są bardzo tanie (tak zwane małpy), ale prędko niszczeją tracąc włos i kolor. Kto chce ekonomiczniej postąpić to może mieć z krymskich pięknych baranków za cenę rs. 10 bardzo trwały kołnierz.

Od pewnego czasu widzimy u nas futra a raczej futerka noszone przez młodzież *kantorową* i *giełdowiczów*, są to paltoniki podszywane damskiemi futrami, z szalowemi kołnierzami szeroko wykładającemi się z przodu. Tak zwane futra tumaki (kuny), elki (tchórze) lisy czarne grają tu główną rolę. Za to zaś damy przyswoiły do swojej zimowej tualety futra męskie, szczególnie tak zwane szopy, które w skutek tego bardzo podrożały; następnie za temi idą bobry syberyjskie, białe niedźwiadki, elki, i t. p. Futra szopowe zawsze są najpraktyczniejsze dla mężczyzn do podróży, niemniej także i czarne niedźwiadki, ale ponieważ te pierwsze znacznie podrożały, za to te ostatnie spadły w cenach. Płaszcz lub szuba kiedyś płacone rs. 700 — 800, można dziś kupić za połowę ceny. Ale, ponieważ obecnie jest modą stroić lokai i stangretów w kołnierze i mankiety z futra niedźwiedziego, przeto niektórzy panowie do miasta używają paltonów podszytych puchem edredonowym, a do podróży szubek robionych formą burek. Te ostatnie są z kortów lżejszych szarych, podszyte skunksami, opossami, lisami, popielicami, lub barankami.

Czapki na zimę pozostaną tą samą formą co roku zeszłego t. j. barankowe czarne u wierzchu denka składane, oraz kortowe z odkładanemi na uszy bokami. Pierwsze w cenie od rs. 5—8, a kortowe od rs. 1 kop. 50 do rs. $2^1/_2$. Kapelusze filcowe i jedwabne, pluszowe, w formie kasku policyjanta angielskiego, t. j. z okrągłą główką zaczynają wchodzić w modę. Filcowe od rs. 3 do 5. Jedwabne od rs. 5 do 7.

Na zakończenie powyższego sprawozdania, podajemy opisanie figur, zamieszczonych w dzisiejszym numerze, dla lepszego oryjentowania się naszych czytelników; odbitych ze sławnego żurnalu francuskiego, redagowanego również przez głośnego krawca paryskiego Fr. Roussela. I tak:

Na 1 Fig. widzimy paltosak (pardessus) na teraźniejszą porę; długość po za kolana, z podłużnemi na piersiach kieszeniami dla ukrycia w tychże rąk od ziębnięcia. Pantalijony z szarego kortu angielskiego w podłużne paski.

Na 2 Fig. Żakieta czarna jednorzędna do wizyty; pantalijony jasno popielate w paski. Kamizelka biała na jeden rząd guzików nisko spięta. Krawat angielski spuszczony. Kapelusz wysoki fasonu à la Gambeta.

Na 3 Fig. Żakiet na dwa rzędy guzików, z materyjału czarnego zwanego Diagonal, pantalijony i kamizelka z tegoż samego materyjału. Kostyjum ten spacerowo wizytowy.

Na 4 Fig. Surdut do talii krojony z grubego zimowego materyjału, służący do spaceru.

Na 5 Fig. Takiż sam frontem zwrócony.

Na 6 Fig. Kostyjum składający się z tak zwanej marynarki, pantalijonów i kamizelki z angielskiego kortu, nakrapianego jaskrawą nitką. Ubranie takowe służy do codziennego użycia.

Korty szare angielskie w ogólności są obecnie używane na garnitury negliżowe. Cena takiego garnituru z dobrego oryginalnego angielskiego kortu wynonosi od rs. 36 do 45.

J. Juszczyk.

ROZMAITOŚCI.

— W klubie wileńskim odbył się temi dniami koncert na korzyść powstańców w Bośnii i Hercogowinie. Krzesła w pierwszym rzędzie kosztowały po 5 rs., w drugim po 2 rs., a w dalszych po 1 rs. Dochód wyniósł do 300 rs.

— Zarząd lwowskiego oddziału Towarzystwa pedagogicznego, urządza w sali ratuszowej szereg przeszło 50 odczytów naukowych. Odczyty te rozpoczną się 1 grudnia r. b. a odbywać się będą trzy razy w tygodniu. Grono prelegentów stanowią: pp. Amborski, Boberska, Burzyński, Ciesielski, Filipowski, Grabowski, Grudziński, Kantecki, Kozłowski, Krówczyński, Radziszewski, Romanowicz, Rościeszewski, Sawczyński, Strzelecki, Łucyjan, Tatomir i Żulińscy.

Дозволено Цензурою. Варшава 13 (25) Ноября 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.